Nr. 7 (1207). **Warszawa, 31 Stycznia (13 Lutego) 1904 r.** **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Manifest Najwyższy.

MY

Z BOŻEJ ŁASKI

MIKOŁAJ DRUGI

Cesarz i Samowładca Wszechrosyjski, Król Polski, Wielki Książę Finlandzki

itd. itd. itd.

Oznajmiamy wszystkim wiernym poddanym Naszym: W trosce o zachowanie drogiego Sercu Naszemu pokoju dołożyliśmy wszelkich usiłowań celem utrzymania pokoju na Dalekim Wschodzie. W tych pokojowych celach My wyraziliśmy zgodę na zaproponowaną przez rząd japoński rewizyę istniejących między obydwoma Monarchiami układów w sprawie Korei, wszczęte w tym przedmiocie pertraktacye nie były jednak doprowadzone do skutku, i Japonia, nie doczekawszy nawet otrzymania ostatnich propozycyj rządu Naszego zawiadomiła o przerwaniu układów i zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Rosyą, nie zawiadomiwszy uprzednio o tem, że zerwanie tych stosunków oznacza rozpoczęcie działań wojennych.

Rząd japoński wydał rozkaz swoim torpedowcom zaatakowania eskadry Naszej, stojącej w zewnętrznym rejdzie twierdzy Portu Artura. Po otrzymaniu zawiadomienia o tem od namiestnika Naszego na Dalekim Wschodzie, My nakazaliśmy natychmiast odpowiedzieć siłą zbrojną na wezwanie Japonii. Obwieszczając o tej decyzyi Naszej, My z niezachwianą wiarą w pomoc Najwyższego i z mocną ufnością w jednomyślną gotowość wszystkich poddanych Naszych stanąć wraz z Nami ku obronie Ojczyzny, wzywamy błogosławieństwa bożego dla sławnych wojsk Naszych, armii i floty.

Dan w Petersburgu dnia 27 stycznia, roku od Nar. Chr. 1904, Panowania zaś Naszego roku 10-go.

Na oryginale własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano.

„MIKOŁAJ.“

POLITYKA.

WOJNA.

Od miesiąca już przynajmniej była założona mina, od dwóch tygodni lonty do niej zapalone, ale nikt nie myślał, żeby ogień tak prędko doszedł do prochu. Zjawisko samo istotnie było piorunującem; ale czynniki jego żywiołowe, gromadzone przez czas, potęgowane przez chwilę, każdą, następującą po chwili, dla oka chcącego widzieć, układały się w doskonałą kolejność, i całość ich, będąc przyczyną skutku, nie przedstawia się bynajmniej, jako niespodzianka. Co innego dziennikarz skrzypiący piórem, a co innego polityk, rozporządzający potęgą wielkiego mocarstwa, czujący za każdem słowem, które powie, armatę, gotową ryknąć. Zarówno hr. Lamsdorff w Petersburgu, jak admirał Aleksiejew w Porcie Artura, jak całe to grono, które pracowało nad zmiękczeniem Japonii, wywierając zasadniczy dla wszelkiej dyplomacyi w ważnych chwilach dziejowych wpływ na wolę strony przeciwnej — wszyscy wiedzieli, że dla Japonii musi przyjść moment psychologiczny odwagi, a zatem wojny, — i wszystko też czego stan wojny wymaga, odpowiednio przygotowali. Wszelką zaś wątpliwość usunęło zerwanie stosunków dyplomatycznych.

Rozpoczęte przez Japonię w nocy z d. 8 na 9 b. m. kroki wojenne mogły zaskoczyć nagle dziennikarzy, nawet publicystów, mogły być niespodzianką dla urzędników dyplomatycznych, nawet dla poważniejszych, odpowiedzialnych już dyplomatów, ale nic niosły w sobie nic nieprzewidzianego dla admirała Aleksiejewa. Samo ustawienie okrętów w porcie zewnętrznym daje tu potwierdzającą wskazówkę. Admirał miał przed oczyma niedawny, bo z r. 1898, przykład niebezpieczeństwa grożącego okrętom w przystaniach zamkniętych; wyprowadził też swoje nazewnątrz, oczywiście nie na to, aby stały, lecz aby w potrzebie bój stoczyły. Jeśli do boju istotnego nie przyszło, jeśli przyjęcie torpedowców japońskich ogniem nie zapobiegło uszkodzeniu przez nie trzech okrętów—musiały być jakieś przyczyny takiego wyniku czysto taktyczne, dające się tylko rozumem specyalnym, wiedzą marynarską i ballistyczną wydobyć, rozważyć i ocenić. Dla samych działaczy, dla sił żywych na widowni wojennej i kierującej niemi inteligencyi sprawa zaskoczenia redukuje się do zagadnienia czysto-taktycznego, które pogłębić się tylko może przez przyjęcie w siebie momentów logicznych, jakieby nasunąć mogło rozważanie konstrukcyi okrętów, ale nie ustąpi przed innem, nasuwanem przez powierzchowną wrażliwość, obficie zraszaną wodami dziennikarstwa.

A dziennikarstwo to — w całej Europie w tej dziejowej sprawie, która mu się teraz już z pod ognia jego rozumów wymykać zaczęła pod ogień dalekich armat, dziennikarstwo europejskie, zwłaszcza paryskie i berlińskie, roztoczyło całą swoją płytkość i przewrotność w tak wspaniałą panoramę, że psycholog, któryby do pracy się zabrał, miałby rozłożoną przed sobą całą złą naturę ludzką i mógłby nauczające wielce studyum o niej napisać. Zrobiono ze strony tego dziennikarstwa wszystko, co podpada pod pojęcia eskamotowania faktów, płytkości sądów, płochliwości na lada nowinę, zmyślania samych tych nowin, bezładu logicznego, nikczemności pobudek

i wreszcie pedantycznego, harcapowego przeświadczenia o swej nieomylnej mądrości. To ostatnie zdolne jest rozśmieszyć nawet zjadającego swe dzieci Kronosa-Saturna. Jeszcze w sobotę zapewniali mędrcy berlińscy, że do zerwania nawet nie przyjdzie, że jeszcze tygodnie upłynęłyby w razie zerwania, zanimby wypadki weszły na regestr wojny, a dalsze znowu tygodnie, zanimby w regestrze tym organy grać zaczęły do tej czarnej mszy, jaką jest każda wojna. Cała grupa mędrców obliczyła, że wsadzenie, przewiezienie i wysadzenie wojska japońskiego na południowy brzeg Korei przez cieśniny Broughtona i Krusensterna potrzebować będzie ośmiu tygodni czasu. A nad wszystkiem szybowała orlemi loty myśl, że przecież niepodobna, aby Japonia w sprawie tak jasnej, tak dla dziennikarzy samych przezroczystej, mogła się targnąć na spokój świata, gdyby się zaś targnęła, niewątpliwie za chwilę przyjdzie pośrednictwo i po chwili [illegible]

Istotnie, do pośrednictwa jako mżonki rwał się już papież ze swego urzędu, porwały się do niego i Stany Zjednoczone, ale jako do roboty politycznej. Już po wybuchu wojny prezydent St. Zjedn. Roosevelt rozesłał do mocarstw okólnik, zapraszający je do podjęcia starań pośredniczych. Większość mocarstw nie da składki miłości i grzecznie się wymówi, ta zaś mniejszość, która się na listę zapisze, będzie zarazem i materyałem do wytworzenia przymierza. Ostatecznie jest to tylko kołowanie daleką drogą do blizkiego Londynu. Czy co z tego będzie? Czy Anglia sama lub z innemi zechce czynnie wystąpić? To zależy najpierw od rozwoju wypadków na widowni wojny, potem od postawy Francyi, o której p. Delcasse zapewnił, że nie wiążą jej z Rossyą żadne zobowiązania na piśmie, ale która mimo to może poczuć w sobie chęć wystąpienia po stronie Rossyi, chociaż skuteczność tej chęci z góry już ograniczoną się wydaje przez konieczność odwołania się do Izby. „Times“ zapewnia Japonię o współczuciu rasy anglo-saksońskiej i narzuca narodowi angielskiemu wiarę, że Anglia nie pozwoli na zagładę Japonii – słusznie przewidywaną, gdy Japonia stanęła do walki z taką potęgą jak Rosya; ale samo to przewidywanie wskazuje, że jeśli Anglia i jako naród i jako rząd się poruszy, to dopiero w ostatniej godzinie. Niemcy, zapewniające o swej neutralności, są właśnie tem mocarstwem, które prędzej od innych wyzuć się z niej może, stawiając po stronie Rosyi całą Europę, jako rasę białą przeciwko Japonii i Chinom jako rasie żółtej, i wszczynając znowu sprawę rozbioru Chin, a strącenia Japonii na padół mocarstwa drugorzędnego. Na sprawy Europy, na sprawę bałkańską, wojna na Dalekim Wschodzie może wywrzeć wpływ podsycający rozkład Turcyi przez narodki bałkańskie; powstanie macedońskie znajduje w niej przyjazne dla siebie warunki. Tylko niechaj ich nie upatruje i nie szuka dla siebie Austrya: wszelkie działanie na własną rękę, wszelka polityka w wielkim stylu może jej przynieść tylko straty, zgubę, a nawet zagładę. Za szczęśliwą uważać się powinna, jeśli Rosya względem niej wytrwa przy umowie z kwietnia 1897 r. [illegible]

PIERWSZE STARCIE.

Wojna wybuchła wcześniej, niż przewidzieć było można przy największem nawet rozgorączkowaniu się strony pilniejszej: ta zaś, jak od samego początku sporu wszczętego w lecie 1903 r. była Japonia, tak też i okazała się nią w jego zakończeniu. Rosya nie potrzebowała się spieszyć, bo najpierw jest o wiele potężniejszą od Japonii, a potem miała za sobą tę korzyść, którą prawnicy rzymscy ujęli w przysłowie *beatus qui tenet*; Japonia była pierwszą do układów i pierwszą też do czynów. W chwili, którą domniemania zaledwie pozwalały przyjąć za termin doręczenia odpowiedzi rosyjskiej d. 6 b. m., Japonia już przez posła swego w Petersburgu zrywała stosunki dyplomatyczne, a we dwa dni później, zaraz po północy z 8 na 9 b. m. torpedówkami nacierała na flotę rosyjską, stojącą w zewnętrznym porcie Artura. Wolno bez przesady powiedzieć, że wypadki lecą z szybkością piorunującą. Napad, wykonany w warunkach zaskoczenia, miał ten skutek, że pancerniki „Cesarzewicz“ (13,300 ton, 16,300 koni par.) i „Retwizan“ (12,900 ton, tyleż k. p.) oraz krążownik „Pallada“ (6,700 t., 13,100 k. p.) zostały poprzebijane, wszakże — według wyjaśnienia admirała Aleksiejewa — bez ciężkiego uszkodzenia: wszystkie ciosy są nadwodne, a machiny i kotły nietknięte; wszystkie też trzy okręty „trzymają się na powierzchni wody.“ Dzięki temu gdy im krążowniki stacyjne pospieszyły z pomocą, mogły poprzestać na wprowadzeniu ich do portu wewnętrznego, nie potrzebując holować. W każdym razie okręty utraciły swą sprawność i bez napraw, wymagających czasu dłuższego, czynnymi już być nie mogą.

Tegoż samego dnia 9 b. m. o godz. 11-ej zrana flota japońska z 15-okrętów napadła na samą warownię Portu Artura. Według buletynu, eskadra „podniosła kotwice, aby wziąć udział w bitwie,“ którą nieco dalej nazwano „stoczoną.“ Admirał donosi, że bombardowanie trwało około godziny; depesza Agencyi Handlowej Ros. oznacza trwanie jego na 25 minut. Admirał mówi, że „eskadra japońska zaprzestała ognia i odpłynęła na południe“; Agencya wyraża się: „Japończycy odparci.“ W urzędowym buletynie admirała niema ani słowa o zatopieniu; w telegramie Agencyi powiedziano: „krążownik japoński zatopiony.“ Uszkodzenia fortecy są nieznaczne, ale zato dotkliwe, dotkliwsze od nocnych uszkodzeń okrętów. Pancernik „Połtawa,“ oraz krążowniki „Diana,“ „Askold“ i „Nowik“ „otrzymały po jednem przebiciu podwodnem przy waterlinii.“ Takie przebicia czynią okręt kaleką; bez wzięcia na warsztat uzdolnić go napowrót do funkcyi mechanizmu zdrowego niepodobna. Tym sposobem strzały działowe i torpeda japońskie uszkodziły 3 pancerniki i 4 krążowniki.

Zofia Rygier-Nałkowska.

LODOWE POLA.

Miewam chwile niczem nieusprawiedliwionej, szarpiącej tęsknoty za tym człowiekiem, który przez życie moje przeszedł — jak huragan. Czasami tęsknię do moich lodowych pól i zórz polarnych...

Zapytał mię kiedyś, czy nie chciałabym z kimś wspólnie czuć, myśleć — i wspólnie walczyć?..

A ja roześmiałam się, bo nie lubię patosu. Nie lubię mieszania miłości z braterstwem dusz.

I teraz zdaje mi się że ten człowiek, którego nigdy nie kochałam, że ten jeden człowiek tylko mógłby być moim mężem.

Czasami w nocy, gdy patrzę szeroko rozwartemi oczami w ciemność, czuję nad memi ustami jakieś palące, obłąkane głodem usta...

A gdy się w te usta wessę pocałunkiem, wiem, że to są usta Janusza, nie Rosławskiego.

I wtedy ogarnia mię przerażenie, że stało się coś złego, coś, co nie odstanie się już nigdy. Że w życiu mojem na zawsze coś przepadło.

Wtedy za nikim już nie tęsknię. Płaczę w nocy — cicho, by nie obudzić Marty.

A rano na Janusza patrzę z nienawiścią i wstrętem. Pastwię się nad nim, chociaż on właściwie nic nie winien. Mszczę się na nim za to, że dusza moja błąka się samotnie po polach lodowych i roi jeszcze swe zimne, srebrne sny — i szuka napróżno duszy bratniej.

Czyżby naprawdę miłość niemożliwa była bez kochania?

* * *

Dziś na polowaniu oczy Janusza rzucały takie błyski, jak wtedy, kiedy patrzą na mnie.

Typowy człowiek pierwotny z okresu koczowniczego łowiectwa. Instynkt zachowawczy przejawia się w nim równie silnie przy zdobywaniu jedynego środka żywności, jak w dążeniu do zachowania gatunku. Zwierzyna jest mu równie potrzebna, jak kobieta.

Byłam zazdrosna o zabijane zające. Prawiłam bardzo humanitarnie o okrucieństwie, jakiego dopuszcza się człowiek, zabierając życie tym bezbronnym, nieszkodliwym istotom.

A właściwie myślałam, że Janusza zamknęłabym chętnie do ładnej klatki, by odciąć go zupełnie od świata. Dawałabym mu dużo jeść, a nie pozwoliła rozmawiać z ludźmi, ani czytać (to pewno byłoby najłatwiejsze), by dla mnie tylko zachował całą swą życiową energię. I w tej klatce odwiedzałabym go czasami...

Byłabym wtedy bardziej uduchowioną, niż obecnie. Dziś moje żywiołowe, pyszne, nienakarmione zwierzę zagłusza swem wyciem głodnem przecudną symfonię mych snów świetlistych...

A nasyciwszy je, szłabym sobie spacerować po mym świętym gaju, nad czarnem, otchłannem jeziorem mej duszy...

I na ten spacer chętnie zabrałabym ze sobą Rosławskiego...

* * *

Janusz zapytał mię, czy nie zgodziłabym się zostać jego żoną.

— Na parę miesięcy z przyjemnością — powiedziałam szczerze, ale później obróciłam to w zupełnie zresztą niesmaczny żart.

Janusz rzucił na mnie parę złych spojrzeń i zauważył sentencyonalnie, że są rzeczy, z których się nie żartuje.

Zapewne—ma racyę. Dla mnie to wszystko zaczyna być trochę smutne.

Mogłabym wyobrazić sobie siebie w roli jego uwodziciela, ale nigdy żony. Teraz nie wiem, co z tem zrobić.

Wyjechałabym stąd, gdybym miała trochę pieniędzy. Że też to wszystko tak prędko się stało...

* * *

Pozostaje w eskadrach Portu Artura i Władywostoku zdolnych w każdej chwili do boju 5 pancerników i 4 krążowniki z okrętów większych, całkowicie opancerzonych; z częściowem opancerzeniem 8 — razem 16; nadto 12 kanonierek i 20 torpedówek. Japonia ma 27 jednostek większych i 80 mniejszych. Straty w ludziach w obu napadach z dnia 9 b. m. wynoszą (adm. Aleksiejew): zabitych 17 żołn., ranionych: 2 oficerów i 62 żołnierzy — ogółem 81.

Jednoczesne a zgodne doniesienia z Tokio i z Pekinu nakazują przewidywać najpóźniej na piątek b. t. przybicie do lądu Korei, prawdopodobnie do Fusanu Masampho (Mosampo) i Czemulpo, wojsk japońskich. Były one już dawno gromadzone, a jeszcze przed zerwaniem stosunków wsadzone na okręty w stacyach północnych i zachodnich Niponu i Kui-szyu. Posunięcie się aż do Jalu, gdzie we wrześniu 1894 r. Japończycy zniszczyli flotę chińską, byłoby zbyt ryzykownem wobec silnego osadzenia ujścia rzeki sięgającego już na terytoryum koreańskie. Według dawniejszych doniesień dzienników petersburskich wszelkie siły lądowe Rosyi na Dalekim Wschodzie dochodzić mogą w tej chwili do 250,000. *Nowoje Wremia* ocenia siły Japonii bojowe na 400,000 i 1,138 dział, z tego połowa jest zapewne już gotową do walki. Teraz prócz wylądowania japońskiego przewidywać można: napad eskadry Władywostoku, na który z portów Jeso lub Niponu, może nawet z wylądowaniem wojska, spotkanie się części floty japońskiej z tą eskadrą bądź na pełnem morzu, bądź u wybrzeży; nowy napad na warownię Portu Artura.

A wojna w piątek dopiero formalnie, jeżeli będzie, to i ma być wypowiedzianą, bo dopiero tego dnia baron Rosen będzie miał okręt czy parowiec francuski do swego rozporządzenia. Stanowisko jego po wypowiedzeniu wojny, gdyby go Japonia chciała wcześniej dokonać, byłoby niesłychanie przykrem, może nawet niebezpiecznem.

Z Dalekiego Wschodu.

Taku. — Tien-tsin. — Pekin. — Szan-haj.

Naszym małym, brudnym i niedbale utrzymanym stateczkiem, należącym do kolei Mandżurskiej *), porządnie rzucały fale w nocy 12 listopada przy przejeździe z Port-Artura do Czifu. Dopiero w samej zatoce, w której głębi leży port, zmalały. W oddali mgliły się brzegi czerwone, górzyste, nie tak spiętrzone jak korejskie, ale równie nagie. Brudno lazurowe morze kołysało się w ich obszernym wnęku. Daleko na urwisku czerniało miasto a w dole pod niem zarysowywał się jasną plamą wśród tłumu ciemnych statków biały kadłub wojennego okrętu. Mijamy dżonki z wielkimi bambusowymi żaglami, żółto przeświecającymi pod słońce, mijamy łodzie rybacze z tępymi nosami. Fala naszego parowca zalewa nizkie ich burty i kołysze je gwałtownie. Brudni i oberwani chinscy rybacy patrzą na nas obojętnie. Zarzucamy wreszcie kotwicę w odległości paruset sążni od brzegu i natychmiast oblega nas rój ciężkich, korytokształtnych „sampanów". Przewoźnicy wrzeszczą, biją się i drą ku nam bezładnie, zaczepiwszy bosakami o burtę. Dowiaduję się, że za kilka godzin odchodzi do Tiensinu, angielski parowiec „Shenkeng". Stoi nie dalej jak o 100 sążni od nas. Każę się natychmiast przewieść nań wraz z rzeczami. Ale po bilet muszę się udać do agentury na brzeg. Kapitan uprzejmy, parostatek czyściuchny i elegancki. Zato drogo: ma klasę wyłącznie pierwszą i za półtora-dniowy przejazd 35 dollarów od osoby.

Biuro zamknięte. Otworzą je punkt o dziesiątej, ani minutę później, ani minutę wcześniej. Korzystam z czasu i idę na śniadanie do najlepszego z tutejszych hoteli „Beach Hotel'u". Brudno, nieuprzejmie i niedbale. Ani porównania choćby z takim drugorzędnym hotelem japońskim, jak „Daibutsu" w Czemulpo. Ceny jednak wysokie; za liche śniadanie zapłaciłem *dollara*. Po śniadaniu udaję się do chińskiego miasta. Wązkie uliczki literalnie są zatkane brudnym, cuchnącym, wrzeszczącym i zajętym tłumem. Spokojniej zachowują się jedynie robotnicy, u straganów z jadłem. Przysiadłszy gromadnie na ziemi lub na nizkich ławeczkach, chciwie pożerają oni z małych miseczek rozlewany przez przekupniów niewybredny pokarm, jakieś makarony w brunatnej zupie. Tymczasem mimo przeciągają całe procesye jucznych mułów, osłów i ludzi, zaczepiając się wzajem i wciąż pokrzykując i swarząc. W około dzikie, niemyte, bronzowe twarze, ale spojrzenia dość łagodne i wesołe. Nieraz, spotkawszy się ze mną oczami, uśmiechają się, pokazując białe zęby... Zresztą zapracowany tłum mało na mnie zwraca uwagi. Dopiero gdym wszył się daleko w miasto, w mniej odwiedzane zaułki, pojawienie się moje, zaczęło wywoływać sensacyę... Z waziuchnych drzwi zakrytych od podwórza murowanemi lub drewnianemi tarczami, wyskakiwały dzieci, wychodziły kobiety w szerokich, kolorowych rajtuzach z małemi jak kopytka nóżkami. Piękności te używają bardzo dużo różu i bielidła a o wiele mniej... mydła. Każda ma pośrodku ust, plamę karminową, im młodsza jest i ładniejsza tem jaskrawszą. We włosy wpinają sztuczne kwiaty i śpilki z ozdobami z drżących błękitnych piórek sójek naklejonych na srebro lub złoto. Wszystko to sterczy dość wysoko i chwieje się przy najmniejszym ruchu głowy, gdyż kobieta powinna być zawsze podobną do kwiatu lub motyla!.. Lecz żony ubogich prostaków, zupełnie są podobne do swych mężów, nawet z ubioru i pracują na równi z nimi. Wszystkie jednak mają okaleczone nóżki-kopytka i może dla tego jedynie nie noszą takich ciężarów na plecach i głowie, jak wspaniałe niewiasty korejskie. Wszystkie chinki, choć często niemyte, mają starannie zaczesane włosy, równo i pracowicie nawinięte na długie i szerokie deseczki.

Zabrnąłem nareszcie w takie brudne uliczki, że od zapachu źle mi się robić zaczęło. Pod szarymi, odrapanymi murami grudy śmiecia, nawozu, trupy zdechłych kotów i psów... Wśród tych obrzydliwych kopców kręciły się jakieś podejrzane, oparszywiałe, kołtunowate ludzkie i zwierzęce postacie. Tu już nie spostrzegałem uśmiechów, lecz niespokojne, błędne spojrzenia śledziły za mną, jak za zdobyczą... Obdartusi zaczęli się

*) Statki te kursują codzień między Port-Arturem i Czi-fu; odchodzą wieczorem.

Późnym wieczorem w łodzi, na środku wielkiego stawu za parkiem.

Zgodziłam się dziś na tę przejażdżkę, bo jest mi źle i chcę umrzeć. A wiem, że Janusz, dręczony przeze mnie w ciągu dnia całego, jest u kresu sił.

Nerwy jego doprowadziłam do najwyższego napięcia. Rękami, jak kleszczami z żelaza, ściska mię za ramiona i przechyla w tył przez burt łodzi. Zupełnym chłodem i biernością potęguję jego szaleństwo.

— Słuchaj, Janka — syczy mi tuż nad twarzą — słuchaj... ty... ostatni raz mówię: powiedz „tak"...

Mogę go rozbroić jednym okrzykiem bólu lub trwogi, ale milczę. Potrzeba mi dziś silnych wrażeń.

— Zabiję! — słyszysz? zabiję! Zaduszę, utopię cię!.. Nienawidzę cię tak, jak cię kocham, bardziej nienawidzę! Prędko mów— mów!..

Wściekłość oddech mu zapiera i głos dławi. Przyciska mię kolanem, paznokcie wpija mi w ciało. Całą siłą tłumię syknięcie z bólu — i czekam. Łódź coraz silniej się przechyla i zaczyna nabierać wodę.

— Utopię cię — widzisz, łódź się przechyla! Mów „tak"!

Patrzę w milczeniu, spokojnie w jego rozpalone, obłąkane oczy. Magnetyzują mię połyski jego białek w ciemności.

Jest chwila, że chciałabym zamknąć powieki i bez szelestu, cicho zanurzyć się w czarną wodę. Ale przez inercyę wciąż zmagam się z nim oczami.

I czuję nagle, że uścisk jego zakrzywionych palców słabnie.

Pewna zwycięztwa, mówię cichym głosem „nie" — i uśmiecham się.

A Janusz z głośnym krzykiem pada twarzą na dno łodzi. Przyciska czoło do mych nóg, pantofle moje okrywa pocałunkami i zanosi się spazmatycznem łkaniem. Łódka kołysze się silnie, wracając do równowagi.

Ja zaś smutna jestem mojem zwycięztwem. W tej chwili straciłam wiarę we wszechpotężną siłę zwierzęcia, które padło w walce z siłą duszy.

Gdyby Janusz był wytrwał jeszcze sekund parę — może uległabym. A teraz zazdroszczę mu niesłychanej rozkoszy ukorzenia się przed moją siłą.

Rozkoszą wojownika nie jest zwycięztwo nad słabszym, lecz uwielbienie dla siły, która godna była go pokonać.

Ponad skuloną, wstrząsaną ucichłem ze zmęczenia łkaniem postacią Janusza patrzę w ciemną dal. Niema księżyca, ani gwiazd. Od sitowi nadbrzeżnych idzie przeciągły szmer.

Oto czarne jezioro zwycięzkiej duszy mojej patrzy martwemi oczami w czarne niebo.

Dokoła wszystko wymarło. Życia niema. Pozostała moja samotność, bezgraniczna samotność mojej siły, która jest jedyna i sama w sobie.

Nigdy jeszcze nie czułam tak swej potęgi i nigdy potęga moja nie była taka smutna.

Czarne niebo zamknęło swe kręgi nizko nade mną, a woda stawu wzdyma się pod chmury. Między duszą moją i nieskończonością niema miejsca dla mojej siły.

O „jakże znużona jestem na wyżynie": jakże chciałabym znaleźć siłę, która ujarzmiłaby moją...

Niech pan wstanie już, panie Januszu — mówię, gładząc go łagodnie po włosach. — Niech pan wstanie... musi już być bardzo późno... Gdzie wiosła?..

* *

Leżę w bruździe między grobami i wącham rosnące na kirkucie białe goździki leśne. Myślę o życiu, o niesłychanym, przepięknym cudzie życia. Tłomaczę Marcie, że właściwie mój kult życia wypływa z rezygnacyi.

— A we mnie rezygnacya inną przybrała formę. Jeżeli nie można mieć wszystkiego, nic nie chcieć — tak brzmi rozpaczliwa religia dumy niewolników i nędzarzy... Moja religia azoizmu jest właśnie taką religią dumy u kobiety, która pogodziła się ze swą niewolą i nie chce surogatów wolności. Lubię takie usunięcie się od całego tego wiru i patrzenie na wszystko z lotu ptaka, z dystyngowanym, garborgowskim u-

zwolna skupiać koło mnie... Wykrzykiwali coś od czasu do czasu, pokazując na usta, lecz choć brała mię głęboka litość, rozumiałem, iż byłoby bardzo nierozsądnie wyjąć portmonetkę w tem towarzystwie... Cofnąłem się więc, nie zdradzając pośpiechu, znowu ku europejskiej dzielnicy przez kręte, głuche uliczki bez drzwi i okien, podobne do szpar w spękanych skałach... Obdartusi szli wciąż za mną, pokazując na usta.

Znikli dopiero w tłumie handlowej dzielnicy, błyskawicznie podchwyciwszy rzuconą im monetę, wystraszeni widokiem chińskiego policyanta z grubym kijem w ręku.

Na „Shenkeng'u“ znalazłem samych Anglików. Było paru Francuzów, ale ci mało się udzielali, kryjąc po swoich kajutach. Były dwie panie, jedna, młoda „lady“ bardzo przystojna, dystyngowana blondynka, jechała z Szanghaju na *tydzień* do Pekinu. Nikt jej nie towarzyszył w podróży, ale wszyscy otaczali uprzejmą, spokojną, angielską opieką... Druga była siwa już pani, mężnie dotrzymująca kroku podróżującemu widocznie w interesach synowi. W tem towarzystwie był rozumie się i nieodzowny „globe trotter“ udający się do Korei na polowanie na bażanty. Pytał mię, czy nie wiem, gdzie tam najodpowiedniejsze do tego miejsce...

— Rozumie się, że w górach, lecz uprzedzam pana, że tam pewnie już spadł śnieg?

Ściągnął ramiona z wyrazem przykrego zdziwienia.

Zapadał wieczór, a malinowe słonce, wielkie, matowe, jak to często bywa w Japonii, skryło się za dalekie, górzyste, chmurne brzegi. Na niebie wysokie, ślimakowate obłoki wróżyły tajfun...

Istotnie w nocy tak nami kołysało, że mój kuferek, taczając się po kajucie, wpadł az na mnie i obudził mię. Nie byłem mu wdzięczny, gdyż juz nie mogłem usnąć od niezwykłego łoskotu nacierających na statek bałwanów, zamętu wirujących dokoła ścian i bolesnych wstrząśnień śruby, co chwila wynurzającej się z wody i bijącej w puste powietrze. Na szczęście trwało to zaledwie kilka godzin; musnęło nas jedynie skrzydło burzy.

Gdy nazajutrz obudziłem się, słońce już wysoko było wzeszło na niebie i parowiec mknął lekko po sfalowanem, bezbrzeżnem przestworzu, żółtem od żółtych, mętnych fal, jak szata bogdychana. W krotce w dali zamajaczyła cieniuchna nitka nizkich, błotnistych brzegów. Podbite z dołu słonecznym blaskiem, zdawały się wisieć w powietrzu, jak sznur oddzielnych kropeczek i kresek. Zwolna kropeczki te rosły, łączyły się, wreszcie utworzyły blado-żółty ląd, najeżony tu i owdzie masztami skupionych koło przystani okrętów... Zarysowały się ciemne kadłuby domów, zabielały czoła zburzonych w czasie ostatniej wojny fortów, służących obecnie za majaki. Na szczytach ich widziałem pikiety chińskie, japońskie i francuskie. Niemcy usadowili się przeważnie dalej wzdłuż kolei...

Wkrótce przybiegł mały parowiec i uprzedził nas, że stan wody w rzece nizki i że przejść „baru“ niepodobna. Kapitan uwiadomił nas, że będzie się wyładowywał, a do Tientsinu ma nadzieję dostać się dopiero za dwa dni. Choć więc wszyscy mieliśmy bilety do tego miasta, ruszyliśmy gromadnie dalej koleją. Jest to stanowczo nadużycie parostatków, które znając stan wody, obiecują mimo to zawieść na miejsce i rozumie się, nie zwracają zapłaty. Jedynie na wiosnę i w lecie warto brać bilety wprost do Tientsinu. W jesieni i w zimie lepiej wysiadać w Taku. To w kazdym razie skraca drogę przynajmniej o 5 do 6 godzin.

Na przystani kolejowej gwałt, krzyk, nieporządek... Policyantów aż czterech. Rosłe draby w czarnych zawojach, czarnych opiętych ubraniach z czerwonemi literami na piersiach. Każdy ma w ręku gruby, krótki obuszek. Po co jednak tu stoją, nie wiem, gdyż wcale a wcale nie mieszają się do tego, co się w koło nich dzieje i pozostają zupełnie obojętni na prośby i pytania podróżnych. Co za różnica z japońskimi policyantami, których na takich przystaniach zwykle jest najwyżej dwóch, za to każdy choć trochę rozumie po angielsku i pilnie przestrzega porządku. Ponieważ w Chinach niema taks, więc przybysz jest wciąż narażony na przykrości i nadużycia ze strony tragarzów, woźniców i przewoźników... Zabierają gwałtem jego rzeczy, ciągną go gdzie chcą, i ani opór, ani protesty, których zresztą nie rozumieją, nic nie pomagają! W końcu żądają bajecznego wynagrodzenia, nawet w razie, gdy samowolnie zabrali pakunki i zanieśli je w przeciwną stronę... Szarpią za ubranie, wrzeszczą „money“, wymachują pięściami... Każdy chce „dollara“ za przeniesienie walizki o sto kroków, a żaden z nich, nawet rosły i silny, nie weźmie dwóch choćby najmniejszych węzełków. Znałem już te wszystkie „sposoby“ Chińczyków, więc niewiele sobie robiłem z ich krzyku i zwróciłem się do porządnie ubranego krajowca z zapytaniem, ile im się w istocie należy. Mówił po angielsku, ale mi powiedział jedynie, ile jego rodacy żądają, lecz ile *im się należy* powiedzieć *nie chciał*... Zawsze to samo: zupełna solidarność wszystkich warstw nawet w rzeczach nieładnych względem europejczyka! I w tem muszę zaznaczyć różnicę z japończykami, którzy choć żądają także wyższych cen od cudzoziemców, ale nie pozwalają na nadużycie i wyzysk poszczególny.

Po godzinie mniej więcej oczekiwania stanął nareszcie pociąg przed stacyą i podróżni zaczęli wsiadać. I znowu trzeba było płacić za ładowanie pakunków. Nadomiar złego nie wydają na tej kolei biletów na bagaż. Każdy musi swe rzeczy sam wnieść do wagonu i prosić bagażowego o „opiekę“. Chaos, zamieszanie, ale rzeczy podobno nie giną; z moich też nic nie zginęło, choć trzykrotnie zdawałem je na taką „opiekę“. Na każdym pakunku przykleja posługacz kartkę z nazwą miejsca odbioru i... wyciąga rękę. Jest to ruch, który w Chinach wciąż się widzi; nawet przechodzień Chińczyk skoro dostrzeże, że cudzoziemiec trzyma w ręku portmonetkę wyciąga rękę... na wszelki wypadek. Doprawdy nawet Włosi są o wiele skromniejsi. Różnią się jednak od Włochów, gdyż w Chinach można nic nie dać bez narażenia się na wygwizdanie lub szturchańce.

Pociąg przebiega w półtory godziny 45 mil ang., oddzielających Taku od Tientsinu. Miejscowość w koło równa, błotnista, pełna sapowisk i solanek. Na stacyach — wojskowe postoje. Trochę dalej od morza pojawiają się coraz gęściej oddzielne fanzy i wioski. Dużo z nich leży jeszcze w gruzach. Sąsiadem moim w wagonie był handlowiec, który tu w czasie wojen służył w milicyi jako ochotnik. Mówił mi, że wzdłuż całej tej drogi, aż do Pekinu po przejściu wojsk europejskich wszystko było spalone i pobite. Trupy mężczyzn, kobiet dzieci leżały gęsto na polach i gęściej jeszcze płynęły na rzece Paj-ho..

śmiechem smutku. Wydaje mi się czasami, że na ziemię zabłąkałam się przypadkiem, tak nic nie jestem przystosowana do życia...

Ja. Przystosowanie do istniejących warunków cenne jest tylko dla zwierząt, każdy człowiek sam dla siebie urobić może świat przez odrębny sposób jego pojmowania...

Ona. Wiesz, Janko, ja dawniej, jak Lewin z tołstojowskiej „Anny Kareniny,“ pytałam każdego, co myśli o bycie pośmiertnym. Powiedz mi swoją filozofię — musiałaś przecież myśleć o tem.

Ja. Właściwie przedewszystkiem nic nie wiem.

Ona. Więc agnostycyzm?.. to najłatwiej. A ja mam najgłębsze przekonanie, ze tam nic niema.

Uśmiecham się z pewnem subtelnem lekceważeniem.

— Ja zaś na pewno wiem to tylko, że jeżeli tam niema nic, to nie może być i nicości.

Marta zastanawia się chwilę — i nie rozumie.

Ludzie wogóle — mówi — skłonni są do wiary w byt zagrobowy, zwłaszcza kobiety. To wypływa ze współczucia dla cierpień, z poczucia sprawiedliwości poprostu. Jako dziecko jeszcze tem się dręczyłam. Jedząc kiedyś przy obiedzie nadziewane kurczę, które zrana w mych oczach łapała kucharka, myślałam, że u antropofagów ja sama mogłabym tak zostać schwytana, nadziana, zjedzona, bez buntu i zadośćuczynienia, bo między moją śmiercią i kurczęcia niema *zasadniczej* różnicy. Wiesz — ja obłędu dostaję na myśl o bezpożyteczności cierpień w naturze... Myślę o tych wszystkich cichych skonach, o których nikt nie wie, o tych wszystkich bólach, ginących w przestrzeni bez śladu i echa... Pamiętam, jak kiedyś Janusz, jako mały chłopiec, skupił w soczewce promienie słoneczne i skierował je dla eksperymentu na jakiegoś maleńkiego owada, który wił się bezsilnie i cicho, przytrzymany za skrzydło — i widzę takie maleńkie, czerwone z żaru łapki, które poruszały się w męce — póki nie wydarłam Januszowi szkła i nie dobiłam spalonego stworzenia... Takie było ostatnie jego wrażenie z życia — potem nicość... Widzę wszystkie te drobne, niewidzialne istnienia, których setki zabijam codziennie na przechadzce, depcąc po bujnej trawie lub igliwiu leśnem — często nie odrazu, zostawiając je nieświadomie na całe, długie godziny powolnego konania w potwornych męczarniach... Pamiętam o męce ryb, żyjących dzień cały na powietrzu i rzucających się odruchowo jeszcze na patelni. I za to, za to wszystko żadnego zadośćuczynienia, żadnego usprawiedliwienia — wiem, bo tam niema nic. Ale ty nie możesz widać znieść takiej potwornej niesprawiedliwości — i dlatego tylko wierzysz, że tam musi coś być.

Ja. Pojęcie sprawiedliwości, zadośćuczynienia, zemsty — jest ideałem czasów dawniejszych i występuje naprzykład w kulcie Jehowy. Dla mnie jest to taka sama kategorya, jak i rugujące ją obecnie pojęcie miłosierdza. Później przyjdzie nowa idea jakaś — a dla tego wszystkiego nie potrzeba nam przecie nieba. Według mnie zjawisko śmierci polega na tem, że tracimy zmysły, kategorye, pojęcia świata tego, by inne zmysły, kategorye i pojęcia przyjąć na świecie tamtym... Lub i to nie nawet... Tam np. może nie być pojęcia zmysłów, kategoryj, pojęć — rozumiesz?— a więc i pojęcia sprawiedliwości.

Ona. Ale wierzysz, że *ty* żyć będziesz?

Ja; Tam może nie być też pojęcia *ja* w przeciwstawieniu do tego, co jest *nie ja*. To rozróżnienie jest wytworem naszego życia ziemskiego, formą przyjmowania wrażeń, czemś czysto przypadkowem, zależnem od gatunku i budowy naszego mózgu... Tam może nie być także pojęć czasu, przestrzeni — rozumiesz, z naszego punktu widzenia to bezsens przecie, by światy nie miały granic: w tem, co nazywamy nieskończonością, niema już przestrzeni... Doprawdy, czasami mam wprost uszanowanie dla Boga, że wymyślił tyle i tak nieskończenie skomplikowanych rzeczy.

Na twarzy Marty wyraz zawodu.

— Więc wierzysz w Boga?

I długo tu było pusto i straszno!.. Niby ktoś rękę we krwi umaczał i przeprowadził smugę po ziemi!..

Wierzę bardzo i już wcale się nie dziwię, że chińscy wyrobnicy chcą teraz żywcem każdego europejczyka z mienia obedrzeć. To im się należy! (C. d. n.).

W. Sieroszewski.

Z NOTATNIKA.

Półwysep Lao-Tong kończy się skalistym cyplem, mocno pożłobionym przez morze. Ale mimo obfitości przylądków i zatok niema tam wcale dobrych przystani. Słynny port w Dalnim jest zupełnie otwarty na morze i olbrzymie, sztuczne tamy bronią go od zalewu fal. Jedyne schronisko naturalne dla flotylli okrętów przedstawia zatoka Port Artura. Nieduże, ale głębokie i przedziwne wcięcie brzegu otaczają niby kleszcze wysokie i strome skały. Wązkie wyjście prowadzi na południe, skąd rzadko wieją wiatry. Przed wyjściem, w obliczu otwartego morza, brzegi zataczają szerokie, łagodne półkole, tworzące tak zwany „port zewnętrzny." W czasie burzy lub niebezpieczeństwa statki chronią się do portu wewnętrznego, gdzie zawsze zaciasno, gdyż są warsztaty, doki, arsenał i miasto rozrzucone amfiteatralnie na zboczach skał. Na szczytach wszędzie wznoszą się groźne baterye i twierdze. W nocy świetlane śmigi reflektorów wciąż pełzają po morzu i najmniejsza łódź nie ukryje się przed ich pościgiem. Anglicy, Francuzi, Niemcy, wszyscy, ktokolwiek widział te działa, szańce, straże i miny, twierdzą zgodnie, że warownia Port Artura jest nie do zdobycia, że sama napaść nań byłaby bezużytecznem szaleństwem. Zapewne że wiedzą o tem i Japończycy, których zawsze znaczna liczba przemieszkiwała w Port-Arturze. Wątpię, aby ich napad miał na celu owładnięcie twierdzy, raczej przypuszczam, iż chcieli wepchnąć flotę rosyjską do portu wewnętrznego, uszkodzić o ile się da statki, zaszachować śmiałą zaczepką siły morskie Rosyi, aby tymczasem wysadzić bezpiecznie swe wojska po drugiej stronie zatoki Korejskiej w Piongjongu, gdzie gotują się zapewne spotkać wojska rosyjskie, idące ku Seulowi od Jalu (od granicy). Cały ten teren doskonale jest znany strategikom japońskim, którzy już w XVI stuleciu staczali na nim długie i krwawe walki z Chinami.

W. Sier.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Nastrój społeczeństwa poznańskiego. — Komitet centralny.—Mowa posła Korfantego —Nowe towarzystwo

Zapowiedź nowych prześladowań, mających spaść na ludność polską, rozprawy w parlamencie i w sejmie, nieustanne ujadanie prasy hakatystycznej na Polaków — wszystko to wytwarza atmosferę nienawiści do Prusaków i przyspiesza pogłębienie świadomości potrzeby zerwania z wszelką tradycyą umizgów do rządu pruskiego i targów z jego ministrami. Nikt się już z polityków poznańskich nie łudzi, że uległością i pokorą, praktykowaną przez Jaździewskich i Radziwiłłów, Dziembowskich i Wolszlegerów, da się coś uzyskać. Młodsze pokolenie mówi też o tem otwarcie, kiedy starsze — obłudnie, wbrew własnemu przekonaniu, usiłuje trzymać się dawnej tradycyi i nie wchodzić na drogę ostrego tonu. Ale i ono rozumie, że rząd pruski wypowiedział Polakom walkę grożącą zagładą i od tej walki nie odstąpi, dopóki nie przekona się naocznie, że nie może osiągnąć tych wyników, do których dąży. To też w pismach konserwatywnych widać ogromną chwiejność i niezdecydowanie, strach i przygnębienie. Tych dwóch ostatnich objawów nie spostrzegamy jednak w pismach ludowych różnych kierunków. Odczuwając rosnącą świadomość narodową warstw ludowych, pisma te przejmują się ich duchem i w formie najczęściej nieudolnej dają wyraz nurtującym w masach przekonaniom. Nienawiść do Prusaków wybija się na wierzch, jako motyw panujący w nastroju społeczeństwa i ujawnia się o tyle, o ile to jest możliwe wobec ścisłych paragrafów ustaw prawnych. Trzeba czytać te nagłówki, jakie daje prasa poznańska telegramom z placu boju afrykańskiego, aby zrozumieć, co czują Polacy, odczytując wiadomości o powstaniu Hererów: „Niemcy w opałach," „Murzyni rżną Niemców," „Niemcy pobici przez Murzynów"— oto tytuły notatek o przebiegu wojny afrykańskiej. Prokuratorya nie może się tych tytułów czepić, ale u czytelników wywołują one nastrój, bardzo dla Prusaków niepożądany, a tłomaczący się ustawicznie rosnącym uciskiem żywiołu polskiego.

Ogłoszony został projekt ustawy „Polskiego, Centralnego Komitetu wyborczego," uchwalony niedawno na posiedzeniu specyalnej komisyi, której zadaniem było właśnie wypracowanie takiej ustawy. Według tego projektu Polski Centralny Komitet wyborczy jest najwyższą władzą dla wszystkich Polaków, uznających poszczególne, polskie władze wyborcze, istniejące w obrębie Rzeszy niemieckiej i przez tenże komitet zatwierdzone. Siedzibą komitetu jest Poznań, a członkowie jego wybierają z pośród siebie naczelne władze polskich organizacyj wyborczych na Wielkie Księstwo Poznańskie, Prusy Zachodnie i Wschodnie, Śląsk i emigracyę. Komitet ma składać się z 11 członków i tyluż zastępców, z których 4 wybiera Poznańskie, 3 Prusy Zachodnie, 2 Śląsk i po jednym polski komitet wyborczy na Berlin, Brandenburgię i przyległe prowincye. Do czynności Polskiego Centralnego Komitetu wyborczego należy przedewszystkiem oznaczenie przed każdymi wyborami do parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego okręgów wyborczych, w których Polacy mają być postawieni, jako kandydaci na posłów. Przy wyborach do parlamentu głosuje się w pierwszem głosowaniu zawsze na Polaków. Wyjątki są dozwolone jedynie za jednogłośną uchwałą komitetu. Dalej komitet ma zawierać kompromisy z innemi stronnictwami, załatwiać w ostatniej instancyi spory, zachodzące między władzami wykonawczemi a wyborcami, utrzymywać biuro informacyjne celem dostarczania wiarogodnego materyału komitetowi polskiemu, ulepszania i uzupełniania organizacyj wyborczych, oddziaływania na opinię publiczną, tak polską, jak i obcą, za pomocą prasy i specyalnych wydawnictw. Projekt ten zostanie niechybnie przyjęty ostatecznie, ponieważ uchwalił go zjazd delegatów poznańskich i zachodniopruskich, a organizacye na obczyźnie również się za nim wypowiedziały. Brak decyzyi jedynie Górnego Śląska, która jednak niebawem ma zapaść. W ten sposób doj-

---

Ja. Nie wiem, wszystko mi jedno; po za nami niema prawdopodobnie pojęcia tworzenia czegoś z niczego, władzy w przeciwstawieniu do podległości, woli do bierności... Uważasz Marto — według mnie wyrażenie: „byt transcendentny" jest *contradictio in adjecto*, bo samo pojęcie bytu wypływa przecież li tylko z doświadczenia — ja się tak wynaturzam, tak wyłażę ze swej ludzkiej skóry, że potrafię się zmusić do pomyślenia takiego niewyobrażalnego świata, gdzie niema przeciwstawienia bytu i niebytu...

I wtedy wszystko mi jedno, czy będę sobą, czy nie sobą, czy nawet wogóle będę, czy nie...

Patrzy na mnie rozwartemi oczami i mówi zcicha:

— Tak — rozumiem...

Ja. I wiesz, umiejętność takiego abstrachowania myśli swej od form myślenia, możność spojrzenia na wszechświat i siebie z takiego punktu — to są wyżyny, niesłychane wyżyny, to jest najczystsza, boska rozkosz...

Między rzędami tablic kamiennych biega bez szelestu czarny kot z szmaragdowemi oczami. Dziwnie towarzyskie zwierzę, chodzi za nami zawsze na spacery, jak pies. Kiedy patrzę na nie, nie mogę się oprzeć wierze w metampsychozę; w tym kocie mieszka jakaś wytworna, arystokratyczna, strasznie sceptyczna na świat patrząca dusza.

— Co to, Marto?

Ona Nic, nic... Szpilka spadła — niech leży.

Z jej wielkich, czarnych warkoczy wysunęła się szpilka szyldkretowa i z cichym szelestem upadła na ziemię.

A Marta jest w nastroju podniosłym. Razi ją teraz świat rzeczywisty, jako śmiesznie mały kontrast z tem, o czem mówimy. Dlatego nie chce, bym jej podniosła szpilkę, chociaż leży na wrzosie tuż przy mnie. Mnie zaś to wydaje się zbyt młodzieńczą egzaltacyą. Życie jest — mimo wszystko — najważniejsze. Należy mieć tyle kultury myślowej, by nie zapominać o tem nigdy.

Dlatego podaję jej szpilkę z zupełnie złośliwym uśmiechem.

- Ostatecznie — konkluduję, powstając z brózdy między grobami i zabierając się do domu — ja rozumiem, że wnioski z tego wszystkiego równają się wierze w nicość. Dla mnie to wszystko jedno, czy po śmierci przestanę istnieć, czy też dostanę się do świata, w którym niema pojęcia bytu, ani pojęcia *ja*, warunkujących moje samopoczucie. Rozumiem też, że świat taki, w którym byt nie przeciwstawia się niebytowi— dla nas równa się nicości. To też wiara moja podobna jest do twojej niewiary, tylko wyprowadza się i formułuje inaczej.

Janusz jest teraz pokorny i biedny. Czasami, gdy długo siedzimy we dwoje wieczorem, zasypia z głową na mych kolanach, zmożony wyczerpaniem nerwowem. Wtedy staję oko w oko z tajemnicą.

Ogarnia mię mistyczne przerażenie przed nieskończoną męką wiecznego czuwania, poczucie jakiejś strasznej odpowiedzialności, przechodzącej moje siły. Ale nie budzę go, chociaż drżę z trwogi — nie powiedziałabym mu nigdy, że się boję... Są rzeczy, których nie mówi się dzieciom. Nie wyznałabym mu nigdy, że lubię samotność, gdy jestem sama, ale poczucie samotności wtedy, gdy ktoś jest przy mnie, przejmuje mię trwogą nadludzką. Słyszę wtedy tryumfujący śmiech mojej duszy...

Ja mam dużo siły, długo mogę walczyć, ale przecież i wojownicy mają chwile, kiedy głowę zmęczoną kładą z bezgraniczną ufnością na czyichś kolanach, chwile, w których raz chociaż, na krótko — czują się bezpiecznymi, czują nad sobą kogoś, kto za nich czuwa, kto odgranicza ich od wroga, od nieskończoności i tajemnicy.

Czyż na całej ziemi niema człowieka, który zdołałby choć na chwilę uśpić moją czujność? Wiem — ten jeden jedyny, ale za cenę czaru życia.

Kiedy Janusz zasypia na mych kolanach, *zawsze* wtedy myślę o Rosławskim.

(C. d. n.).

dzie do skutku rzecz, która po raz pierwszy została zaprojektowana przed dziesięciu laty w *Przeglądzie Poznańskim*, ale przyjęta wówczas jako mrzonka utopijna, niezasługująca nawet na poważne traktowanie. Od tego czasu myśl polityczna kół kierowniczych społeczeństwa poznańskiego odbyła znaczną ewolucyę w stronę zespolenia sił wszystkich prowincyj i skierowania ich w jedno łożysko.

Powstanie polskiego komitetu centralnego na całą Rzeszę niemiecką nietylko zjednoczy wszystkie siły polityczne, ale nada ich pracy pewną jednolitość. Warto się wobec tego zastanowić nad tem, na czyją korzyść ta jednolitość wyjdzie.

Na całym terenie ziem polskich w Prusach, jako też i na emigracyi ścierają się obecnie dwa kierunki, odpowiadające budowie społecznej każdego z poszczególnych skupień ludności polskiej — konserwatywno-serwilistyczny i demokratyczno-radykalny. Pierwszy najsilniej jest reprezentowany w Poznańskiem, gdzie agraryusze polscy posiadają wpływ największy. W Poznanskiem szlachta polska nie wyzbyła się jeszcze ziemi w takiej mierze, jak to jest w Prusach Zachodnich, to też ona wpływa na bieg polityki przedewszystkiem, a taki ośrodek klerykalizmu, jakim jest pałac arcybiskupi w Poznaniu, nadaje polityce szlacheckiej cechy skrajnej reakcyi klerykalnej i każe jej zdążać do porozumienia z centrum. Dlatego też czterech poznańskich delegatów będzie w komitecie centralnym reprezentowało skrajno-reakcyjne skrzydło, gdyż bardziej opozycyjny kierunek mógłby w nim uzyskać wpływy dopiero po zdobyciu przez „ludowców" większości stanowisk delegatów powiatowych, co nastąpi jeszcze nieprędko. W Prusach Zachodnich łatwiej mogą zwyciężyć czynniki opozycyjne, choć jeszcze nie zaraz. W każdym razie tu wpływ szlachty topnieje widocznie, a antagonizm względem kleru czyni tam znaczne postępy, tak że pomiędzy trzema reprezentantami Prus Zachodnich w komitecie centralnym łatwo się mogą znaleźć w niedalekiej przyszłości żywioły opozycyjne, neutralizujące do pewnego stopnia wpływ delegatów poznańskich. Z Górnego Śląska wejdą do komitetu centralnego bezwarunkowo przedstawiciele polityki opozycyjnej i w znacznej mierze demokratycznej. Najprawdopodobniej jeden przedstawiciel *Katolika* i jeden *Górnoślązaka*. Co się zaś tyczy delegatów emigracyjnych — berlińskiego i westfalskiego, to obaj zajmą to samo stanowisko, co przedstawiciele *Górnoślązaka*, a może jeszcze bardziej skrajne. W ten sposób na 4 opozycyonistów w komitecie centralnym będzie 6—7 zwolenników dawnej taktyki, co zapewne spowoduje ustawiczne zatargi wewnętrzne. Ponieważ jednak sympatya ogółu wyborców, uznających zwierzchnictwo komitetu centralnego, będzie niewątpliwie po stronie opozycyi, przeto kto wie, czy nie wpłynie to na przyspieszenie procesu radykalizowania się tak komitetu centralnego, jak i czynników, mających wpływ na jego wybór.

Mowa „dziewicza" posła Korfantego w parlamencie wywarła powszechnie bardzo dodatnie wrażenie. P. Korfanty mówcą wybitnym nie jest — to należy przyznać, ale też mowa jego zrobiła wrażenie nie ze względu na formę. Uderzyła wszystkich treść jej, na którą złożyło się długie pasmo nagich faktów, charakteryzujących doskonale z jednej strony smutne położenie robotnika polskiego na Górnym Śląsku, z drugiej — obłudę tej „kultury pruskiej," którą się dotychczas chlubią germanizatorowie. Namiętny ton, w jakim mowa utrzymana była, znalazł sympatyczne echo wśród polskiego ogółu i Korfanty utrwalił nią znacznie swe stanowisko na Górnym Śląsku, gdzie ono było w ostatnich czasach do pewnego stopnia zachwiane. W kołach serwilistycznych, reprezentowanych przez *Dziennik* i *Kuryer*, znać niezadowolenie, ale nawet te pisma nie mogą się wyróżnić wbrew opinii ogółu społeczeństwa, niewątpliwie sympatyzującego z ostrością tonu posła z Katowic, który za parę dni zostanie posłem sejmowym, obejmując mandat po nieboszczyku Głębockim.

Polityka tak pochłania wszystkie siły społeczeństwa poznańskiego, że po za objawami działalności politycznej nigdy prawie nie mamy żadnych faktów do zanotowania. Tylko bardzo rzadko znajdzie się coś godnego omówienia, coby nie wchodziło w zakres polityki. Do takich faktów należy założenie w Poznaniu Towarzystwa ku zwalczaniu zakaźnych chorób płciowych. Towarzystwo to zwołało pierwszy wiec publiczny, na którym zostały wygłoszone dwa referaty. W pierwszym z nich dr. Chłapowski zapoznał czytelników z obecnym stanem chorób płciowych w Poznańskiem i krajach sąsiednich za kordonem, w drugim dr. Karwowski mówił o społecznem znaczeniu chorób płciowych. Po odczytach nastąpiła wyczerpująca dyskusya, a w końcu przyjęto szereg postanowień. Pierwsze z nich wzywa redakcye i administracye czasopism polskich, aby nie umieszczały ogłoszeń szarlatanów i hańbiących swój stan lekarzy, obiecujących wszelkie choroby płciowe i ich skutki wyleczyć w krótkim czasie, nawet piśmiennie; ani reklam dla tajnych leków, przeciwko tym chorobom zalecanych. Drugie postanowienie wzywa całą polską publiczność, aby dopomagała Towarzystwu w szerzeniu wiadomości, że zastarzałym przesądem jest mniemanie, jakoby wstrzemięźliwość płciowa mogła szkodzić zdrowiu, że zakaźne choroby płciowe, mimo braku spostrzegalnych dla laika objawów, przez długi czas mogą być jednak zaraźliwemi, a tylko długie i sumienne leczenie przez lekarza może je na dobre wyleczyć i niebezpieczeństwo zarazy usunąć. Znajduje się też wezwanie do odnajmujących mieszkania, przedsiebiorców, kupców i rzemieślników, aby mieli szczególną baczność na swoich sublokatorów, służbę i czeladź i przez własną niedbałość lub nieodpowiednie umieszczenie ich nie przyczyniali się do szerzenia niemoralności i chorób płciowych.

Takie same wiece mają się odbyć na prowincyi, co niewątpliwie przyczyni się do spopularyzowania idei i działalności młodego Towarzystwa.

Pośrednik.

Listy z Francyi.

Paryż, 4 lutego.

Wydalenie alzackiego księdza Delsora. — Wystąpienie Jaurès'a z *Petite République*. — Wykluczenie Milleranda z partyi. — Usunięcie naczelnego redaktora *Action* Charbonnel'a.

Jak w roku zeszłym tak i teraz parlament francuski traci wciąż czas drogo opłacany przez wyborców na jałowe dyskusye i interpelacye. Nie prowadzą one bowiem prawie nigdy do ulżenia doli biednych lub rozszerzenia widnokręgu życia. Dla względów politycznych, podtrzymania lub obalenia ministeryum, wszyscy niemal zapominają o swych zasadach i ideałach, obniżają program, robią liczne ustępstwa ze swych przekonań, a w taktyce posługują się środkami niezawsze etycznymi. Przykro było patrzeć, jak nawet taki nieugięty tytan-radykał, Clemenceau, dokładał wszystkich sił, ażeby uznanem zostało za prawowite wydalenie z granic Francyi alzackiego księdza Delsora, zanim ten zdołał wystąpić na jakiemś zebraniu publicznem. Sędziwego radykała deputowanego Maret'a, naczelnego redaktora *Radical*, jak zawsze tak i teraz powstającego zasadniczo przeciw jakimkolwiek wydaleniom obcokrajowców, nazywają dziś naiwnym idealistą, a o skrajnej nieprzejednanej lewicy z dep. Vaillant'em na czele piszą i mówią z przekąsem, że ich stanowisko w tej sprawie to woda na młyn wstecznych nacyonalistów. Jedynem przeto wyjaśnieniem owego sprzeniewierzenia się radykałów swym zasadom i hasłom jest obawa osłabienia i rozprzężenia dotychczasowej większości ministeryalnej, t. zw. „bloc."

Dawniej we Francyi skrajni radykaliści stali niewzruszenie przy swych programach, nie wyrzekali się swych ideałów. Dostatecznym bodźcem do pracy i poświęceń była dla nich głęboka wiara w słuszność i sprawiedliwość ich żądań. Dziś w obozie radykalnym pojawia się coraz to inne tłomaczenie materyalistycznego pojmowania dziejów, chwilowa jakoby konieczność zmniejszenia jeszcze *minimum* programu, łączenia się ze względów oportunistycznych z innemi w zasadzie wrogiemi stronnictwami.

Rzecz bolesna i rozpaczliwa, że zwykle pod pokrywką pięknych frazesów ukrywają się ambitne, egoistyczne dążności i że zażarta na pozór walka o zasady ma często pobudki czysto osobiste. Gdy się żyje długo i blizko tych kłótni, sporów i waśni, gdy się blizej pozna ich głównych prawodyrów, trudno obronić się sceptycyzmowi; z niewiarą też słucha się ich szumnych mów i zapewnień o gotowości do poświęceń, o miłości i dążeniu do wszystkiego, co piękne, dobre i sprawiedliwe.

Francuski, uświadomiony lud robotniczy coraz lepiej poznaje swych „mauvais bergers"; zrozumiał on dobrze, że Millerandowi szło o jak najdłuższe zachowanie teki ministeryalnej, a Jaurès'owi o utrzymanie się na stanowisku wiceprezydenta Izby. Nie dziwi go więc, że Jaurès powaśnił się ze współpracownikami swego organu *La petite République* i że zakłada nowy dziennik jeszcze umiarkowanszy, którego siedzibą będzie — jak utrzymują złośliwi — wyższa szkoła normalna, mająca niejako wydawać ostatnią opinię o programach społecznych. Niefortunnem też wydaje się usunięcie w ostatnich czasach Milleranda z organizacyi partyjnej, skoro dawniej, będąc ministrem, dopuszczał się daleko większych błędów i wykroczeń, — czyżby inna była miara dla ministrów, a inna dla eksministrów? a zresztą czyż programy Jaurès'a, Rouanet'a, Daville'a różnią się od programu Milleranda?

Nierównie smutniejszym faktem jest upadek antiklerykalnego dziennika *Action*, który śmiało i energicznie walczył od roku pod hasłem „A bas les calottes." Założycielem jego i duszą był utalentowany publicysta Charbonnel, którego odstępstwo od Kościoła i zrzucenie sukni kapłańskiej przed kilku laty sprawiło niemałą wrzawę. Pismo pomimo doborowego zastępu współpracowników nie mogło zyskać szerokich mas czytelników i utrzymać się o własnych siłach. Nizka cena prenumeraty i sprzedaży ulicznej wobec braku głównego źródła dochodów — ogłoszeń i reklam, — sprawiła, że pomimo odbijania 60—70 tysięcy egzemplarzy, byt *Action* był nader niepewny, deficyt, jakkolwiek nieznaczny, ale stały, ujawniał się na końcu każdego miesiąca. Przed kilku miesiącami jednak zjawiła się opatrzność w postaci pani Durand redaktorki feministycznego dziennika *La Fronde*.

Zaproponowała ona zlanie obu redakcyi, a za stanowisko współredaktorki *Action* ofiarowała swą klientelę feministyczną, swe stosunki w świecie finansowym, swe umowy w dziale inseratów i wreszcie pieniądze. Połączenie tego rodzaju niewyglądało niebezpiecznie dla *Action*, zdawało się bowiem, że panią Durand jedynie po-

wodowała chęć utrzymania się w świecie dziennikarskim, dokąd wtargnęła przemocą w epoce bulanżyzmu i skąd wytrącało ją niepowodzenie *Frondy*. Wypadki jednak ubiegłego tygodnia odsłoniły całą sieć zakulisowych machinacyj, które sprytna a urodziwa Marguerite Durand przedsięwzięła doprowadzić do skutku. Przedewszystkiem, skupiwszy znaczną ilość akcyj, weszła do komitetu zarządzającego, a tam wprędce obraną została na przewodniczącą. Odtąd losy *Action* spoczęły w jej ręku, a właściwie w rękach spekulantów giełdowych, którym zależało na pozyskaniu i ujarzmieniu pływowego dziennika. Potrafiła ona oplatać i wciągnąć do swego świata giełdowego drugiego współredaktora, młodego literata Bérenger, a przy jego pomocy zdołała zużytkować szpalty radykalnego i wolnomyślnego organu dla kompanii zorganizowanej przez wolno-praktykujących agentów giełdowych t. zw. coulissiers przeciw monopolowi agentów przysięgłych. Charbonnel na razie nie spostrzegł się na owym podstępie, gdy jednak zaczęto zwracać jego uwagę, począł się opierać zamieszczaniu różnych artykułów, a wtedy pani Durand postanowiła pozbyć się nieznośnego cenzora i, jako przewodnicząca komitetu zarządzającego, przeprowadziła natychmiastową decyzyę usunięcia redaktora naczelnego. Samowładne rozporządzenie tej damy wprawiło na razie wszystkich w osłupienie, wprędce jednak ujawniły się dwa obozy: jedni trzymają stronę Charbonnel'a i żądają pisma niezależnego, uczciwego, drudzy zapatrują się pobłażliwie na finansowe kombinacye, jako na nieuniknioną konieczność dla istnienia pisma lub też są osobiście wrogo usposobieni dla Charbonnel'a.

Zacietrzewienie obu obozów jest straszne; od dni kilku na szpaltach *Raison* i *Action* toczy się zaciekła walka, w której, jak zwykle w takich razach, onegdajsi przyjaciele obrzucają się wzajemnie najstraszniejszemi potwarzami i najdotkliwszymi epitetami. Zatarg ten nie skończy się na pojedynkach i nie ucichnie tak rychło, gdyż obie strony odwołują się do sądu Stowarzyszenia wolno-myślicieli (Association nationale des Libres Penseurs) jak również poddadzą sprawę pod rozpatrzenie lóż masońskich. Rozgoryczenie, zajadłość potęgują się ze stron obu z każdym dniem, trudno więc powiedzieć, jak się to skończy. Po stronie Berenger'a, a więc w redakcyi *Action* pozostali wybitni członkowie lóż masońskich jak Lafferre, prezes Wielkiego Wschodu, deputowany Masse, piastujący urząd mówcy w Grand Orient, senator Delpech, członek wielkiej Rady (Grand Conseil de l'Ordre) itp. słowem osobistości cieszące się powszechnym szacunkiem; niemniej jednak fakt przyjaźni Berengera ze znanym giełdziarzem Zadoksem, kupczącym po cichu i otwarcie sumieniem dziennikarzy, deputowanych i senatorów — nie jest zaprzeczonym. Opinia przeto publiczna skłania się bardziej ku Charbonnel'owi [illegible] oskarżenia znajdują łatwiej posłuch. Wczorajszy numer *Raison* wykazujący, że syndykat tak zw. coulissiers płacił w ostatnich miesiącach administracyi *Action* 5,000 fr. miesięcznie za prowadzoną kampanię przeciw przywilejowi przysięgłych agentów giełdowych rozchwytywany był przez publiczność, podawano sobie z ust do ust wiadomość, iż nowy Arton—wspomniany wyżej Zadoks — miał wypłacić 200,000 fr. redakcyi *Action* w razie gdyby parlament [illegible] ów przywilej. Według Charbonnel'a, Berenger i Delpech prowadzili akcyę z całą świadomością, zapełniając organ poświęcony walce przeciw klerykalizmowi—kampanią jednej kategoryi giełdziarzy przeciw drugiej, niczem nie lepszej, obie bowiem istnienie swe opierają na szwindlach giełdowych i podejrzanych operacyach finansowych.

Powyższe zjawisko i jego następstwa sprawiły przygnębiające wrażenia na wszystkich szczerych radykałach i wolnomyślicielach francuskich, jest ono bowiem jednym więcej dowodem, że wobecnem środowisku panowania kapitału nieraz najuczciwsi, najmoralniejsi ludzie nie mogą się oprzeć pokusie złota i wcześniej czy później wchodzą ze swem sumieniem w kompromisy, sprzedając swe pióro lub pracę więcej dającemu. Przykre to i z tego względu, że wsteczne, gadzinowe organy jak *Libre Parole, La Croix* itp. skorzystają z tej walki wśród ludzi jednego obozu aby zohydzić samą ideę, której gorącymi rzecznikami były dotychczas oba pisma — *Raison* i *Action*.

Wysoce jednak niesłusznem byłoby wyprowadzać wniosek, spotykany aż nazbyt często na łamach pism naszych, że takie fakty są dowodem moralnego upadku Francyi, że francuscy szermierze postępu są więksi egoiści, szarlatani lub więcej sprzedajni. Nie! We Francyi tylko duch krytycyzmu jest daleko więcej rozwinięty, niema wiary w żadnych bogów, w żadne nienaruszalne wielkości narodowe, łatwiej więc jest analizować i poddawać krytyce zarówno fakta, jak ludzi. Francya, jak zawsze tak i teraz, w ruchu społecznym i kulturalnym przoduje ludzkości, w niej kłują się nowe prądy, krystalizują nowe ideały, otwierają nowe widnokręgi myśli ludzkiej. Zażartość walki świadczyć może jedynie o gorącem przywiązaniu do swych idei, o gotowości postawienia wszystkiego na kartę. Teraźniejsza Francya chyli się do upadku, jest dziś w epoce przejściowej, jak ongi Roma delenda est, — ale epoka odrodzenia już dla niej świta.

Dr. Józef Zieliński.

Przeciw prostytucyi.

W kantonie zurichskim w Szwajcaryi ogólna radość z powodu wyniku powszechnego, bezpośredniego głosowania z dnia 31 stycznia r. b., którem ostatecznie odparto starania o przywrócenie prostytucyi, zniesionej prawem z 1897 r.

W 1896 r. wystąpiono z projektem nowego prawa, dotyczącego obyczajności i skierowanego głównie przeciw prostytucyi i demoralizacyi jawnej, pozostającej do tego czasu pod kontrolą władz kantonalnych i miejskich, jak to zresztą wszędzie się dzieje. W 1897 r. nowe prawo przyjęte zostało ogromną większością 40,751 głosów przeciw 14,710 przy bezpośredniem, powszechnem głosowaniu. Prawo to znosi całkowicie jawną prostytucyę i przepisuje bardzo ciężkie kary za rajfurstwo, pośrednictwo, handel dziewczętami itp. Tak np. za stręczycielstwo i handel dziewczętami § 120 wyznacza 5 lat więzienia i 15,000 fr. kary. Agitacya przeciw wprowadzeniu tego prawa była bardzo silna ze strony osób interesowanych, którym miały być wytrącone z ręki ogromne zyski, dochodzące niekiedy do kilkudziesięciu tysięcy franków rocznie. Nawet pewna ilość lekarzy dała się uwieść dowodom strony przeciwnej i głosowała przeciwko temu prawu po części może we własnym interesie materyalnym, po części przez fałszywe doktrynersko-naukowe zapatrywanie na rzecz.

Po wprowadzeniu nowego prawa odgrażano się, że się ono długo nie ostoi, jako niestosowne i w sześć lat później wniesiono nową inicyatywę pod bałamutną nazwą „inicyatywy obyczajności" (Sittlichkeitsinitiative), którą to nazwę nosił projekt z r. 1897, a to niby w celu pouczenia, że prawo z r. 1897 wpłynęło na rozszerzenie się zepsucia i że dla zapobieżenia złemu należy znieść paragraf, zabraniający utrzymywania domów publicznych, aby w nich można było, dla lepszego niby nadzoru, zamykać zepsute dziewczęta. Podjęto silną agitacyę, nie żałowano ogromnych środków pieniężnych, rozpuszczano fałszywe pogłoski, przekupywano itd. Proklamacye i odezwy rozrzucane były po ulicach, na schodach domów, wciskane do mieszkań.

Opinia bałamuconych obywateli umiała jednak sobie poradzić. Wkrótce rzeczywisty stan rzeczy się wyjaśnił. Posypały się listy do poważanego powszechnie prof. O. Wysza z zapytaniami, jak się na sprawę zapatryją lekarze. Prof. Wysz rozesłał do lekarzy kantonów wezwanie, w którem prosił o wypowiedzenie się za lub przeciw opinii wyrażonej w następujących słowach: „Dowiedzionem jest ogromne rozpowszechnienie handlu młodemi, uwiedzionemi dziewczętami, gwałtem lub też chytrością z pośród rodziny daleko od stron ojczystych uprowadzanemi i zatrzymywanemi przemocą w domach rozpusty. Handel ten przyjął, jak wiadomo, tak szerokie rozmiary, że państwa Europy zmuszone były urządzić wspólną naradę w Paryżu w celu przedsięwzięcia środków zapobiegających temu „handlowaniu białymi murzynami." Zdaje się, że ten wstrętny handel możliwy jest tylko wskutek istnienia domów publicznych, co je czyni w ich teraźniejszem urządzeniu absolutnie godnemi potępienia. Niemniej zwraca też uwagę straszny wyzysk, jakiemu podlegają nieszczęsne niewolnice lupanarów. Nie należy uchylać zakazu otwierania domów publicznych." Prof. Wysz otrzymał na tę odezwę 236 odpowiedzi, z których 198 — z całkowitą zgodą na jego pogląd, 126 podpisanych lekarzy pozwoliło nawet ogłosić w gazetach swoje nazwiska. 38 lekarzy odmówiło swego podpisu—12 dlatego, że rozpoczynają praktykę i nie znają danych stosunków, inni zaś ze uważają położenie obecne za niezadawalające. Tak więc i teraz, po sześcioletniem doświadczeniu, ogromna większość wypowiedziała się stanowczo przeciw istnieniu domów publicznych.

Sprawdzono też urzędowe dane statystyczne z ostatnich lat 6 i okazało się, że pod względem ilości urodzin dzieci nieprawych i ilości zachorowań na zakaźne choroby płciowe da się zauważyć prędzej pewną zmianę na lepsze, niż na gorsze. Wzmogła się obyczajność na ulicach, pod jednym tylko względem statystyka wypadła niekorzystnie: wykazano zwiększenie się ilości osób karanych za nieobyczajność, ale jest to naturalnem następstwem obostrzenia przepisów i nie stanowi wcale dowodu większego zdemoralizowania społeczeństwa.

Podobny porządek, jak w kantonie zurichskim, wprowadzony już jest z dobrym skutkiem w kantonie bazylejskim i w niektórych miastach niemieckich, jak np. w Heidelbergu. W Hamburgu, tem mieście wszechświatowem, gdzie się przelewają wciąż masy najróżnorodniejszej obcej ludności, zaprowadzono surowe prawidła przeciw niemoralności i o mało co nie zniesiono całkiem domów publicznych.

Wynik głosowania z d. 31 stycznia r. b., odrzucający ogromną większością głosów nową „inicyatywę nieobyczajności" (jak ją nazywają Szwajcarowie), świadczy chlubnie o dojrzałości obywateli zurichskiego kantonu, którzy potrafili przezwyciężyć wiele trudności i pomimo przeciwności przeprowadzić gruntowną reformę moralną i hygieniczną. Reforma ta przetrwała już ogniową próbę i świeci dla innych krajów cywilizowanych przykładem, jako ważny bardzo precedens. Wszak u nas, gdzie handel dziewczętami kwitnie w najlepsze, gdzie zepsucie gnieździ się od wieków i wciąż się szerzy, niszcząc zdrowie ludności fizyczne i moralne, spotyka się nawet

lekarzy chorób nerwowych, którzy uważają stopniowe ścieśnianie i powolne, na kilkadziesiąt lat rozłożone, zniesienie prostytucyi za niemożebne i szkodliwe dla fizycznego i moralnego zdrowia obywateli naszego kraju.

A Zurich był przecie uważany przed laty za jedno z głównych siedlisk handlu dziewczętami.

A. Wróblewski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Dochód z Królestwa Polskiego.

Warsz. Dniewnik zamieścił wiadomość, że według obliczeń centralnego Komitetu statystycznego „za każdy pobierany w formie podatku rubel ludność Kraju Nadwiślańskiego otrzymuje od rządu z powrotem pod postacią rozmaitych przedsięwzięć 1 rb. 14 kop., czyli znacznie więcej, niż pobiera rząd.“ Natomiast inne dzielnice państwa, według *W. Dniewnika*, pozostają w gorszym stosunku. Otóż *Gazeta Polska* na podstawie cyfr urzędowych lub dostatecznie sprawdzonych wykazuje, że informacya powyższa jest zupełnie błędna. Wynika z nich bowiem, że Królestwo Polskie płaci skarbowi przeciętnie z dziesiatyny ziemi 72 kop., gdy inne gubernie Cesarstwa najwięcej 15 k., że na 1 pud zboża wypada obciążenia podatkowego w Cesarstwie 0,0025, a w Królestwie 0,0477 rb., że według raportu kontrolera państwa ogólny dochód z Królestwa (1899) wynosił 134,869,986 rb., a wydatek tylko 98,420,531 rb. — czyli przewyżka dosięgła 37 mil. Potrąciwszy zaś jeszcze 58,697,397 rb. z rozchodu na potrzeby armii i 16 mil. na koszta zarządu skarbowego — co nie należy do zakresu potrzeb miejscowych — pozostanie jako ogólna suma wydatków 39,725,134 rb.—czyli— Królestwo Polskie przynosi skarbowi 95,146,852 rb. Za każdy tedy rubel podatku państwo zwraca krajowi 30 kop., a nie — jak twierdzi *Dniewnik* — 1 rb. 14 kop.

Fuszerka lekarska.

Ks. Kirchner obnażył w *Gońcu* jedną z najboleśniejszych ran naszego życia społecznego — poradę lekarską dla ludzi ubogich. Wszystko, co o niej napisał, jest najrzetelniejszą, choć jeszcze niecałkowitą prawdą. „Przyszedł — opowiada o lekarzu nauczyciel szkoły, w której dzieci pochorowały się na szkarlatynę — zajrzał im w gardła, ale tak sobie, od niechcenia—i powiedział, że to angina. E, co on tam dba... Żeby mu dobrze zapłacili, to co innego...“ „Prosiłem — skarżył się do księdza umierający robotnik kolejowy — ażeby dobrze obejrzał, tłomaczyłem, że mnie bardo piersi bolą. Błagałem, ażeby mnie ratował. Ale gdzie tam! Opukał, ażeby się odczepić. Pewnie żal mu było kolei — nie chciał jej narażać na koszty. A mnie biedaka stracił.“ W innym wypadku wezwano lekarza do położnicy, która wkrótce umarła. „No cóż się pani tak bardzo stęskniła do mnie“ — mówi wesoło do umierającej kobiety. „Takim lekarzom zdaje się — pisze ks K. — że z łaski udzielają swej porady klasie roboczej, bo na razie od chorego nic nie biorą. Ale przecież ta sama klasa składa na doktora i lekarstwa swój grosz ciężko zapracowany... Więc ani fabryka, ani lekarze łaski robotnikom nie wyświadczają, tylko dają to, co im się należy.“

Jest to sprawa, która nie wymaga długich i szczegółowych wyjaśnień przed sumieniem czytelników *Prawdy*. Więc z powodu głosu ks. K. poprzestajemy na stwierdzeniu następujących, niewątpliwych faktów: 1) że fabrykanci przeważnie utrzymują lekarzy dla parady lub ubezpieczenia się ze strony przepisów prawnych; 2) że tacy lekarze przenikają się duchem ich intencyi i traktują swój obowiązek z gorszącem lekceważeniem; 3) że wielu z nich albo wcale nie stara się, albo nawet nie umie rozpoznać chorób (lekarzami fabrycznymi są np. otyatrzy); 4) że ta nieuczciwa fuszerka nie wywołuje najsłabszego przeciwdziałania i najlżejszej nagany w łonie korporacyi i jej organach, przestrzegających dziwnej tolerancyi wobec nadużyć, a jednocześnie piętnujących wszelkie wykroczenia przeciwko solidarności koleżeńskiej, zwanej „etyką lekarską“; wreszcie 5) że podczas gdy zabiegliwi synekurzyści w ten sposób igrają z niedolą ludzką, mnóstwo dzielnych i prawych lekarzy nie ma praktyki.

Bieda studencka.

Według urzędowego zawiadomienia, 300 kilkudziesięciu studentów uniwersytetu warszawskiego nie opłaciło wpisu i zostaje pod groźbą wydalenia. Prasa objaśniła ten smutny fakt rozmaitemi przyczynami specyalnego charakteru. A tymczasem należy ich zawsze szukać w położeniu ogólnem. Student, jak każdy członek społeczeństwa, zależy od jego stanu ekonomicznego. Urodzaj zboża, cena chleba, taniość lub drożyzna życia — to są warunki jednako dotykające wszystkich, czy ktoś wytwarza pszenicę, czy też zajmuje się nauką. Niema pomyślności studenckiej śród ogólnego niedostatku — i naodwrót. Otóż rok bieżący należy do bardzo ciężkich. Ziemianie pasują się ze skutkami klęski, w przemyśle i handlu zastój, wszystkie artykuły spożywcze podniosły się w cenie — naturalną więc koleją rzeczy wzrosła oszczędność i zmniejszyły się zarobki młodzieży, dającej korepetycye. Żadna statystyka nie zaznajamia nas ze zmianami w dochodach szewców, krawców, stolarzów, rolników, kupców itd., więc uważamy za wyosobnione zjawisko niedobór tej sfery, do której ona sięgnęła. Ale gdybyśmy zbadali budżety wszystkich stanów, przekonalibyśmy się, że one łącznie dźwigają brzemię niepowodzenia. Dopóki tedy nie nastąpi poprawa w położeniu ekonomicznem kraju, biedna młodzież nasza w zakładach naukowych będzie cierpiała niedostatek, któremu nie zapobiegnie frazes dziennikarski.

Spadek papierów.

Wiadomości wojenne wywołały niesłychany popłoch na giełdzie i gwałtowny spadek wszystkich papierów. Nikt nie kupuje, każdy chce swoje sprzedać. *Gazeta Handlowa* słusznie ostrzega przed tak nieuzasadnionemi obawami. Przestrach, który ogarnął naszą giełdę, niemniej miał wpływ i na petersburską, gdzie panika dosięgła niebywałych rozmiarów. Kasy oszczędnościowe Banku państwa oblegane są od dni kilku przez wycofujących swe oszczędności. Tymczasem Bank państwa, jak w czasach normalnych, sprzedaje weksle zagraniczne po kursach dotychczasowych, a więc państwowa równowaga monetarna nie została zachwiana. Wobec tego niezrozumiałym jest nadewszystko spadek wielu tutejszych papierów, a szczególniej listów kredytowych miasta Warszawy, które przecież do wartości spekulacyjnych nie należą.

Skroplenie i zestalenie wodoru.

Przed kilkunastu dniami zjawił się w pismach warszawskich telegram, donoszący o skropleniu, a wreszcie o zestaleniu wodoru przez prof. Olszewskiego w Krakowie. Wiadomość tę skwapliwie pochwyciły inne pisma i nuż rozwodzić się nad ważnością odkrycia, nad następstwami w przyszłości tego niesłychanego w historyi wypadku itd. itd. Telegram oraz rozgłoszone przez pisma wiadomości wprawiły w zdumienie przyrodników. Jakto, przecież to już przed laty siedmiu wodór skroplony został, przecież to już sześć lat mija, kiedy Dewar przez szybkie odparowanie wodoru w próżni zdołał go nawet zamrozić na ciało z wyglądu podobne do lodu! Wszakże to w d. 4 maja r. z. prof. Olszewski przedstawił Akademii Umiejętności w Krakowie uproszczony przez siebie przyrząd kondensacyjny, zapomocą którego w ciągu 8—10 minut zdołał otrzymać 200 centymetrów sześciennych wodoru ciekłego! Dziwny zaiste telegram! Kto go wysłał? Czy czasami nie kryje się w tej sprawie jakaś złośliwość? Na razie pozostaje to tajemnicą. Pisma jednak, które podały ów telegram nieszczęsny, nie odwołały go i nie odsłoniły zagadkowego jego pochodzenia. Bo z kim się liczyć mają? Z garstką przyrodników? Też żądanie! Gdyby to chodziło o datę urodzin jakiegoś z bożej łaski artysty, pierwszeby one zapewne nieomieszkały zgromić śmiałka, który o tak ważnym w historyi fakcie mógł zapomnieć. Lecz tu chodzi tylko o nauki przyrodnicze. Biedne wy nauki! Pastwią się nad wami bez litości; przekręcają myśli wasze, słowa wasze! Bo tam, w redakcyach pism codziennych, niema miejsca dla szczerych przyrodników, dla których, jak dla żebraków, wszędzie wystawiono tabliczkę: wstęp wzbroniony. A jednak pisma zagraniczne, codzienne stałą już rubrykę otworzyły dla sprawozdań z postępu nauk ścisłych. Nie usprawiedliwia kierowników naszej prasy codziennej wykręt, że niema jakoby piszących, że społeczeństwo nie chce podobnych wiadomości, bo należy kwestyę odwrócić; dajcie mu je wpierw, a ono samo już później żądać będzie. Zubożenie naukowe naszej prasy codziennej — to objaw znamienny. Gdyby wołanie pomogło, należałoby krzyczeć na głos cały: otwórzcie podwoje, otwórzcie łamy swe na przyjęcie tej wielkiej, wszechpotężnej nauki przyrody; oddajcie choćby kącik stały w swem piśmie na rubrykę jej zdobyczy, nie traktujcie tego jako poświęcenie w imię obowiązku społecznego, lecz jako konieczność, jako postęp w piśmie. Podobnego rozwiązania kwestyi społeczeństwo nietylko domagać się, lecz nawet żądać powinno...

BADANIA NAUKOWE.

Zagadnienie śmierci.

Szereg zjawisk życiowych, zachodzących w pewnym, stałym, określonym porządku kolejnym, zaczynając od najniższej fazy zarodkowej — od jajka — do zgrzybiałej starości, uwieńczonej śmiercią, stanowi t. zw. cykl życiowy organizmu. Składają się nań najróżnorodniejsze objawy fizyologiczne; pomimo całej swej dla powierzchownego obserwatora różnorodności wszystkie objawy te mają jedną wspólną cechę: związane są z *przemianą materyi*.

Ta przemiana polega na tem, że tkanki składające organizm, odnawiają się bezustanku, tworzą się kosztem przyjmowanych zzewnątrz materyałów odżywczych; z drugiej zaś strony ulegają ciągłemu rozpadowi, ciągłej dezorganizacyi, a powstające

skutkiem tego produkty rozkładu są wydzielane, usuwane nazewnątrz.

Zjawiska pierwszej kategoryi oznaczone bywają w fizyologii nazwą *anabolicznych*, drugiej zaś — *katabolicznych*. Obie kategorye tych zjawisk zachodzą w organizmach jednocześnie, obok siebie. Jeżeli przeważają w danej fazie rozwojowej zjawiska anaboliczne, — wtedy zachodzi powiększenie się, wzrost organizmu; zmniejszenie się zaś, zanik organizmu lub jego oddzielnych części związany jest z przewagą objawów katabolicznych.

Oczywiście w młodości, dopóki zwierzę lub człowiek wzrasta, dopóki szala zjawisk życiowych podnosi się, przeważają objawy anaboliczne, organizacyjne (asymilacyjne). Uwiąd zaś starczy, wiekowe uwstecznienie zawsze idzie w parze z przewagą procesów katabolicznych, czyli dezorganizacyjnych (dysymilacyjnych). Jaka jest przyczyna tej początkowej — za młodu — przewagi anabolii nad katabolią, innemi słowy, dlaczego organizm w pierwszych okresach cyklu życiowego wzrasta, w końcowych zaś — tj. w starości zmniejsza się, maleje skutkiem wzmagającej się katabolii — to jest zagadnienie, które dotychczas nieznalazło w biologii należytego naukowego rozwiązania.

Wprawdzie starano się wytłomaczyć sobie to zjawisko przy pomocy porównania organizmu z maszyną; sądzono, iż tak jak maszyna skutkiem długiego użycia psuje się z czasem, oddzielne jej składniki: koła, śruby, itp. ścierając się, już nie pasują do siebie, tak iż całość w końcu staje się nieczynnym, zrujnowanym gratem — że w podobny sposób narządy, spełniające różne czynności fizyologiczne, skutkiem zużycia coraz bardziej tracą na sprawności — aż wreszcie całość jest równie nieczynnym zrujnowanym „gratem," który musi być zastąpiony przez pokolenie młode.

Chociaż ta analogia ma z pewnego punktu widzenia niejaką dozę słuszności, to jednak ogół biologów tłomaczenia tego, jako zbyt ogólnikowego, nie uważa za wystarczające.

W ogóle w poglądach na tę ciekawą kwestyę dają się zauważyć dwa punkty widzenia.

Jeden z nich bliższy jest tym, którzy upatrując ścisłej analogii organizmu z maszyną — przyczyn, prowadzących organizm dojrzały po pochyłości zjawisk katabolicznych do śmierci, szukają w warunkach zewnętrznych; sądzą oni, że istotną przyczyną, skazującą wszystko, co żyje, na śmierć nieuniknioną, jest walka organizmu z warunkami szkodliwymi świata otaczającego; skutkiem tej walki organizm „zużywa się," rujnuje, psuje się.

Inni znów (jak Weissman np.) przyczyn tych szukają wewnątrz plazmy: sądzą, że „zarodek śmierci tkwi już w plazmie jajka." Johannes Müller np. powiada tak: „Pytanie, dlaczego ciała organiczne giną i dlaczego sprawność fizyologiczna zostaje przez ciało rodzicielskie przenoszona na młode, żywe produkta, w ciałach zaś starych stopniowo zanika, maleje, należy do najtrudniejszych bodaj kwestyj biologii ogólnej; tej zagadki my obecnie rozwiązać nie umiemy; możemy zaledwie podać przegląd zjawisk.

Niepodobna zadowolić się odpowiedzią, że czynniki nieorganicznej natury stopniowo rujnują życie, gdyż w takim razie sprawność życiowa powinnaby zmniejszać się już od pierwszych chwil młodości. A wiadomo przecież, że ta sprawność w okresie dojrzałości jest jeszcze tak wysoka, iż pomnaża się wytwarzaniem potomstwa. Musi więc istnieć inna, głębiej leżąca przyczyna, warunkująca śmierć osobników. Rozmnażanie gwarantuje przenoszenie się sprawności organicznej z jednego (rodzicielskiego) osobnika na drugi (potomka), a więc gwarantuje jej ciągłość."

Rzeczywiście, gdyby śmierć następowała z powodu nagromadzających się skutków ujemnych zewnętrznego oddziaływania, to w takim razie ludzie, żyjący prawidłowo i unikający wszelkich szkodliwych czynników zewnętrznych, żyliby bez porównania dłużej, niż ci, którzy żyją niezupełnie prawidłowo i podlegają wielu wpływom szkodliwym.

A jednak, choć w niektórych wypadkach powyższe oczekiwanie sprawdza się, naogół ludzie nie mogą przeżyć więcej nad lat 120, a ci właśnie niezawsze odznaczają się wzorowem życiem.

Pomimo najidealniejszego zbiegu okoliczności, pomimo najsurowszego przestrzegania wszelkich zasad hygieny, u wszystkich starców występują jedne i te same zjawiska starości: atrofia wszystkich narządów.

Conheim („Vorlesungen über allgemeine Pathologie," t. I, 1882) pogląd swój na istotną przyczynę śmierci naturalnej wypowiada w ten sposób: „Podług mnie, szczególniej ta stałość, z jaką w starości występuje w mniejszym lub większym stopniu atrofia *wszystkich* narządów, niezależnie od tego, czy dany osobnik podlegał lub nie chorobom, świadczy wymownie, że warunki starczego zwyrodnienia są — że się tak wyrażę — natury fizyologicznej."

I rzeczywiście: skoro nie uważamy organizmu ludzkiego za coś stałego, niezmiennego, skoro widzimy ciągłe w nim zmiany od chwili urodzenia aż do śmierci, to przyjść musimy do tego koniecznego wniosku, że śmierć jest poprostu nieuniknionym, ostatnim szczeblem tych zmian rozwojowych: jest ona końcem, naturalnym wynikiem szeregu kolejnych przeistoczeń fizyologicznych, które z tą samą konsekwencyą i koniecznością po sobie następują, jak np. wyklucie się motyla z poczwarki, która z kolei wyłoniła się z gąsienicy.

Gorącym wyznawcą tego poglądu jest i Verworn, który powiada:

„Życie organizmu w rzeczywistości nigdy się nie zatrzymuje.

Jak organizm dojrzały rozwija się z drobnej komórki jajowej, chociażby warunki zewnętrzne podczas rozwoju tego nie ulegały żadnym zmianom, tak również w innem tylko tempie prowadzi on dalej swój rozwój do stadyum zgrzybiałej starości i wreszcie do trupa.

Komórka jajowa jest to początek, zgrzybiałość zaś i śmierć — naturalny koniec ciągłego rozwoju, którego przyczyna tkwi w swoistej, skomplikowanej budowie materyi żywej, wkraczającej na swą drogę życiową jeszcze w stadyum jednej komórki (jajowej). Słuszną więc jest rzeczą zamiast poprzedniego, długo uznawanego poglądu, iż śmierć jest wynikiem nagromadzających się przyczyn zewnętrznych, przyjąć pogląd inny, że przyczyna t. zw. śmierci naturalnej tkwi w samym organizmie żyjącym."

Argumenty, uzasadniające powyższy pogląd, szczególniej o ile chodzi o zastosowanie ich do śmiertelności organizmu ludzkiego, nieprzekonywającemi mogą być tylko dla tych, którzy w organizmie ludzkim dopatrują się działania jakichś innych sił „życiowych," niż w reszcie świata organicznego.

Kolejne zmiany, choćby nawet w zewnętrznym tylko wyglądzie ciała ludzkiego, przechodzącego wiek młodości, dojrzałości i starości, są dość nieuchwytne, gdyż odbywają się bardzo wolno, stopniowo, okres bowiem życia ludzkiego (70—80 lat) po za zarodkowego w stosunku do jego rozwoju embryonalnego (koło 9 miesięcy) jest dość długi. Jeżeli się zwrócimy do istot o organizacyi niższej, to spotkamy tam stosunki wręcz odmienne.

Ostatnia faza rozwoju, okres dojrzałości płciowej, trwa np. u niektórych owadów bardzo krótko.

Wiele z nich umiera zaraz po złożeniu jaj lub po zapłodnieniu; te zaś osobniki, które z jakiego bądź przypadkowego powodu tej czynności fizyologicznej dokonać nie mogły, żyją znaczniej dłużej.

Śmierć więc jest tu bardzo wyraźnym, stałym skutkiem poprzedzającego ją procesu fizyologicznego — aktu płciowego.

Najlepszym bodaj przykładem w tym względzie mogą być jętki (Ephemeridae), owady, które jako niedojrzałe larwy żyją w wodzie 2—3 lat; osiągając dojrzałość płciową, wylatują one na parę nieraz tylko godzin, nie żywią się nawet wcale, mając zarośnięty otwór ustny, i po złożeniu jaj, umierają niezwłocznie.

Rzecz prosta, że zagadnienie śmierci, tak czy owak roztrząsane, nie może być dotychczas uważane za jako tako rozstrzygnięte. Pozostaje ono wciąż dla biologów ciemnem.

Z drugiej jednak strony, opierając się na obecnem pojmowaniu zjawisk biologicznych, zawsze zmiennych, podlegających bezustannej ewolucyi, śmiało rzec można, że dla biologa *śmierć* jest mniej zagadkowym fenomenem, niż rzekoma *nieśmiertelność*, jeszcze tak niedawno przypisywana istotom jednokomórkowym.

W każdym razie problemat śmierci kryje w sobie to samo zagadnienie co i problemat rozwoju, mianowicie kwestyę dlaczego ciała żyjące podlegają ciągłym zmianom w okresie swego życia indywidualnego? Dokładne wyjaśnienie przyczyn tego zjawiska, oczywiście, wtedy tylko może nastąpić, kiedy poznamy lepiej chemiczną i biologiczną stronę bytu komórki.

Kazimierz Kulwieć.

LITERATURA I SZTUKA.

ZE SZTUKI.

Wydawnictwo „Sztuka Polska."

Mamy przed sobą dwa zeszyty dzieła, którego całość ma zawrzeć się w piętnastu, obejmujących 60 wybitnych prac z działu malarstwa naszego.

Zastrzegając sobie sąd ostateczny do chwili ukazania się całości, możemy jednak już dziś powiedzieć słów kilka o tem wydawnictwie, jest ono bowiem stanowczo krokiem naprzód w usiłowaniach na polu popularyzacyi artystycznej sztuki naszej.

Przypominamy sobie jeszcze niedawne czasy, kiedy nasze pisma ilustrowane kpiły sobie z publiczności, ofiarując jej z wielką ostentacyą i hukiem nieszczególną reprodukcyę trójbarwną, jako *premium nadzwyczajne*, a tymczasem wiele ówczesnych pism zagranicznych w każdym numerze dawało po kilka odbitek kolorowych nierównie lepszych. W ostatnich też latach zjawiały się dzieła o sztuce, przerobione z innych języków, które w wydaniu polskiem ze względów czysto oszczędnościowych zawierały o dziesięć razy mniej ilustracyj, niż w oryginałach.

Wreszcie ukazywać się zaczęły monografie, jak np. „Juliusz Kossak" Witkiewicza, gdzie oprócz wielu dobrych reprodukcyj czarnych znalazło się i kilka druków kolorowych. Były to jednak przeważnie tylko fragmenty, nie zaś dzieła wybitniejsze danego mistrza.

Śród tej artystycznie ubogiej atmosfery ukazała się „Sztuka Polska," znajdując dobre dopełnienie w pięknem wydawnictwie „Polskiej Sztuki Stosowanej."

Trzeba było rzucić okiem wstecz, aby bez uprzedzeń wydać sąd o tem nowem

wydawnictwie. Jest ono pierwszem u nas, które sposobem barwnym stara się odtworzyć możliwie wiernie dzieła artystów polskich, nie uważając ich za wykwintne uzupełnienie tekstu, lecz przeciwnie jako główny i jedyny cel wydawnictwa. Są to więc usiłowania ze wszech miar zasługujące na uznanie i jak najszersze poparcie ogółu. Podwójny tytuł polsko-francuski wskazuje zamiar wydawców rozpowszechniania wieści o pracach naszych artystów i daleko po za granicami mowy polskiej.

Świadczy o tem również dodatkowe tylko znaczenie krótkiego tekstu objaśniającego przy każdej reprodukcyi. Tekst ten z łatwością da się zastąpić stroniczką tłomaczenia w innym języku. Wydawcy uważali go tylko za krótką charakterystykę, niezbędną szczególniej przy tych reprodukcyach, które nie mogą mieć pretensyi do trafnej, *ogólnej* charakterystyki danego artysty, np. przy „Portrecie narzeczonej“ Grottgera.

Trudno przewidzieć, jaką metodą i pobudkami kierować się będą redaktorzy przy wyborze obrazów do reprodukcyj, pierwsze jednak dwa zeszyty budzą pewne obawy, czy koteryjność i bractwo wzajemnej adoracyi nie zaszkodzi temu wydawnictwu, a co gorsza nie przedstawi w świetle mniej korzystnem sztuki naszej przed oczyma zagranicy. Bez ścisłego i bezstronnego wyboru te 60 reprodukcyj może się stać albumem różnych obrazów polskich, zamiast zbiorem najwybitniejszych dzieł sztuki polskiej.

Zacznijmy od początku: „Zygmunt Stary słuchający *Zygmunta* *)“ Jana Matejki jest obrazem dobrze charakteryzującym działalność mistrza, choć bynajmniej nie należy do jego prac najlepszych. Mamy jednak prawo przypuszczać, że nie będzie on ostatniem dziełem artysty w tem wydawnictwie. Juliusza Kossaka „Przeprawa rotmistrza pancernego przez Dniestr,“ ciekawa bardzo, jako obrazek z życia dawnego Polaków, pod względem artystycznym, choć dobrze charakteryzuje Kossaka, nie jest też jednem z jego dzieł najlepszych. O Grottgerze już wspominaliśmy powyżej, że ta praca ciekawą jest, jako niemal unikat malarstwa olejnego tego, który zasłynął na polu zupełnie innem. „Nieznana nuta“ Jacka Malczewskiego bardzo dobrze charakteryzuje twórczość artysty z ostatniego okresu.

Drugi zeszyt tworzą: „Studyum portretowe“ Teodora Axentowicza, przedstawiające główkę kobiecą, jakich dziesiątki tworzył artysta w latach ostatnich, posiadłszy pewien właściwy sobie szablon wdzięczny, lecz banalny i technicznie niebardzo wysoko stojący. Kto zna Francuzów i sztukę francuską tylko zdaleka, ten może nazwałby to szykiem francuskim, lecz artysta francuski z pewnością powiedziałby z lekceważącem wydęciem ust: *c'est du chic*, rozumiejąc pod tem określeniem całą banalność kompozycyi i brak subtelności w wykonaniu. Gdyby autorem tej bardzo miłej twarzyczki był wybitny artysta francuski, zachowałby może całą lekkość i jakby „motylkowatość“ roboty, ale tylko jako pozór, pod którym kryłaby się olbrzymia pewność i umiejętność techniczna. Główka ta nie miałaby tak, jak u Axentowicza, jednego policzka bardziej spuchniętego lub szyi niemożliwie długiej. Czy ta praca, rozpowszechniona tak ostentacyjnie i z takimi honorami, przysporzy sławy artyście i uznania sztuce polskiej w Europie, o tem pozwolimy sobie wątpić.

To samo możemy powiedzieć o notatce krajobrazowej Jana Stanisławskiego p. t. „Lato.“ Jest to jeden z mnóstwa szkiców, rzucanych zapewne po kilka na dzień podczas wakacyj letnich. Jeżeli wydawcom chodziło o zaznaczenie właśnie tego ostatniego okresu, w którym utalentowany artysta jakby stawał ciągle w pół drogi, ciągle się przygotowywał do powiedzenia czegoś, co pozostaje niewymówionem, to rzeczywiście „Lato“ może go charakteryzować, ale raczej byłaby to charakterystyka z albumu satyrycznego, kursującego w ciasnem kółku koleżeńskiem, a nie poważne zadokumentowanie wybitnego talentu przed „Europą,“ której się każe wołać entuzyastyczne „aaa“!

Czyż tak trudno było znaleźć coś odpowiedniejszego w tece tego samego Stanisławskiego? Czyż wydawcy nie umieli wyobrazić sobie tego szeregu złośliwie, lekceważąco uśmiechniętych twarzy artystów różnych narodowości, którzy o sztuce polskiej nic nie wiedzą, lub w nią nie wierzą, a przed którymi z całą pychą luksusowego wydawnictwa rozkłada się takie „Lato“ lub takie „Studyum portretowe“?

„Aha! więc to taka jest sztuka polska! Więc to właśnie mają być najlepsze jej przejawy!? Jaką zatem musi być reszta?“

Podobnie niedźwiedzią przysługę oddali sztuce polskiej p. Godebski et consortes, urządzając w r. 1900 wystawę *stulecia* Sztuki Polskiej w Paryżu, gdzie jak groch z kapustą znalazły się razem prace dobre i liche. Wydano mnóstwo pieniędzy, napychając nimi kieszeń przedsiębiorcy francuskiego i skończyło się na wymordowaniu kilku „ciepłych“ wzmianek gazeciarskich, między któremi błyszczały i takie gdzie Moniuszkę, Reszkego i Paderewskiego zaliczono do znakomitych malarzy polskich. Z Francuzów nikt na tę wystawę nie chodził, a Polak co prędzej uciekał z sercem wzburzonem, zaciskając zęby na myśl, że ktoś się ośmielił z taką bezczelnością skompromitować sztukę naszą.

Niechaj więc wydawnictwo „Sztuki Polskiej“ pamięta, że nietylko pod względem drukarskim należy być bez zarzutu, ale i co do wyboru owych 60-u dzieł, mających reprezentować przed Europą 60 *najlepszych* dzieł sztuki polskiej. Czyżby rzeczywiście niepodobna było bez pokazywania banalności lub przeciętnych szkiców zebrać tej skromnej ilości, którą dziesięciokrotnie przewyższa liczba żyjących artystów polskich, nie mówiąc już o zmarłych?

Kończą 2 zeszyt „Pogrzeb“ Karola Tichego i portret „prof. Rydygiera w gronie asystentów“ Leona Wyczółkowskiego, — obie prace dobrze charakteryzujące talent danych artystów.

Wydawnictwo „Sztuki Polskiej“ pod względem reprodukcyi i drukarstwa jest bez zarzutu i zasługuje na zupełne uznanie.

Do niedawna środki techniczne nie pozwalały na artystyczne powtórzenie dzieła sztuki we wszystkich kolorach. Stąd powstało słuszne lekceważenie wszelkich oleodruków lub litografii kolorowych. Woleliśmy rzecz oddaną w reprodukcyi czarnej np. w fotografii, lecz subtelnie i wiernie, niż zabarwioną, ale niedołężnie i bez zachowania cech oryginału.

Obecnie trudności te są prawie, że zwalczone. Druk wielobarwny daje na drodze mechanicznej bardzo wierne kopie, pozwalające odczuć nawet technikę oryginału i każde pociągnięcie pędzla. Dziś więc to upieranie się przy wyższości czarnych kopii z barwnych oryginałów nie ma najmniejszej podstawy i jest bezmyśnie lub z przyzwyczajenia powtarzanym frazesem (zresztą bardzo jeszcze rozpowszechnionym).

Artystycznie wykonana reprodukcya barwna jest nierównie bliższą oryginału, a zatem dającą pełniejsze wrażenie, niż jednobarwna fotografia, cynkotypia itp.

Sierp.

*) [illegible]

NOWE KSIĄŻKI.

— Ellen Key: **Stulecie dziecka**. Przekł Izy Moszczeńskiej (Warszawa, nakł. Księgarni Naukowej, 1904).

Czytając piękną książkę autorki szwedzkiej, mamy ciągle w pamięci wzniosłe słowa Nietzschego: „Kochajcie kraj dzieci waszych miłość ta niechaj będzie waszem szlachectwem — nieodkrytą krainą po za najdalszemi morzami! Niechaj do niej zmierzają wasze żagle i niech jej szukają! W dzieciach waszych powinniście wynagrodzić to, że waszych ojców dziećmi jesteście: całą przeszłość w ten sposób odkupić wam trzeba!“

Ellen Key odstępuje znacznie od programu t. zw. feministek dzisiejszych. Nie należy ona do żadnego obozu, jest to umysł nawskroś samoistny i indywidualny, a sprawa kobieca sprowadza się u niej do kwestyi macierzyństwa. Twierdzi ona jednak, że „w granicach indywidualnej wolności ludzkiej leży wybór kierunku rozwoju, szczęścia lub upadku,“ pozwala nie chcieć małżeństwa lub chcieć tylko małżeństwa bezdzietnego, uznaje i może zrozumieć brak uczuć macierzyńskich u niektórych kobiet i dla tych również pragnie „istotnej wolności, to znaczy, aby żyły zgodnie z swą naturą,“ lecz sądzi, że obawa macierzyństwa jest zjawiskiem chorobliwem, następstwem różnych warunków współczesnych. W gorących słowach mówi o obowiązkach matek względem pokoleń przyszłych, obowiązkach, rozpoczynających się, jej zdaniem, na długo przed urodzeniem dziecka.

W pierwszym szkicu, zatytułowanym „Przysługujące dzieciom prawo wyboru rodziców,“ autorka z siłą przekonywającą twierdzi, że dzieci mają prawo żądać, aby rodzice ich byli ludźmi zdrowymi i poczynali je w chwili miłości prawdziwej — dzisiaj bowiem zbyt często się zdarza, że rodzice powinniby swe dzieci prosić o przebaczenie za smutne dziedzictwo chorób i zwyrodnienia, które im w spadku przekazali.

Jakże mało jest obecnie ludzi, którzy zastanawialiby się, czy *mają prawo* tworzyć nowe życie; wydaje im się dostateczną zasługą, że je utrzymują. Pozbawieni uczucia „świętości rodu,“ nie zdają sobie najczęściej sprawy z olbrzymiej odpowiedzialności, jaka na nich ciąży. Ellen Key żąda, aby ludzie, zawierający małżeństwo, mieli przed oczami nowe życie, którego twórcami być mają, i aby wtedy tylko odważyli się podjąć to wielkie zadanie, jeżeli poczują się tego godnymi. Tylko zasadnicza zmiana warunków społecznych i zapatrywań indywidualnych na cel i znaczenie życia może wytworzyć nowy typ biologiczny, wyższy od dzisiejszego. Wzrastać on musi w ciągłej i jasnej atmosferze miłości rodziców. Wzajemna miłość mężczyzny i kobiety zbogaci życie, uczyni je pełnem, jeżeli będzie „twórczością artystyczną, religijnem nabożeństwem, wyrazem zupełnej jedności zakochanych w nowej istocie, która wtedy dopiero za życie otrzymane do wdzięczności poczuwać się będzie.“

Ellen Key występuje przeciwko bojowniczkom sprawy kobiecej, które, wychodząc z założenia, że ograniczenie pracy kobiet sprzeciwia się zasadom niepodległości jednostki, zwalczają prawodawstwo ochronne. Dziś istotnie, dziwnie brzmią słowa o wolności kobiety, pracującej do wyczerpania sił dla zdobycia środków utrzymania. Zbyt dobrze znany jest wszystkim wpływ pracy fabrycznej matek na zdrowie i rozwój moralny dzieci, aby go trzeba było podnosić. Sprawie tej poświęca Ellen Key wiele ustępów gorących. Społeczeństwo, zrozumiawszy, że matka stanowi jego najcenniejszą cząstkę, że, ochraniając jej macierzyńskie funkcye, zabezpiecza najwyższe swe dobro — będzie musiało dążyć do nadania kobiecie szerokich praw ochronnych. Zakres praw kobiety“ kończy się tam, gdzie prawa dziecka zaczynają. Ellen Key sądzi, że w nowem społeczeństwie każda matka otrzymywać będzie zapomogę, która ją uwolni o

pracy pozadomowej w okresie, kiedy dzieci opieki wymagać będą. A wychowanie — to pieszczenie, głaskanie i bicie dzieci! „Trzeba olbrzymiej siły, aby choć jednemu dziecku dać to, do czego ma prawo!“

Szkic, traktujący o wychowaniu, pełen jest wielu ważnych i cennych wskazówek i rad, że rodzice i wychowawcy powinniby mieć go ustawicznie w pamięci. Streszczać go tutaj niepodobna; każde niemal zdanie zasługuje na przytoczenie.

Urzeczywistnienie tego, co Ellen Key pisze o obecnem wykształceniu i wychowaniu szkolnem, które nazywa tak słusznie „morderstwem dusz,“ jak również jej piękny program „szkoły przyszłości,“ pozostać musi na długo jeszcze, niestety, w dziedzinie marzeń.

M. Bukowińska.

Notatki literackie i artystyczne

HISTORYA. A. Brückner: „Starożytna Litwa. Ludy i bogi.“ Szkice historyczne i mitologiczne. Nakład Księgarni Naukowej.

— A. Szelągowski: „Śląsk i Polska wobec powstania czeskiego.“ — „Walka o Bałtyk.“ — „Wzrost państwa polskiego XV i XVI w. Polska na przełomie wieków średnich i nowych.“ Lwów, Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Warszawa — Wende.

— Jan Leszczyński: „Rządy rosyjskie w kraju tarnopolskim. 1809—1815.“ Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wyd. S. Askenazy, t. III, cena 1 rb.

— J. Baczyński: „Dzieje Polski,“ przystępnie a obrazowo opracowane, w 2 tomach. z ilustracyami. Tom I. Nakł. K. Kozłowskiego, Poznań.

— H. Witkowska: „Historya ustroju Polski,“ w zarysie. W 3 częściach. Biblioteka spółczesna. Cena 40 kop. Skład gł. w Księg. Naukowej.

PRZYRODA. Dr. E. Warburg: „Zasady fizyki,“ 8-go wyd. niem. przeł. S. Bouffałł, z 405 rys. Nakł. Miłośników fizyki.

— Stanisław Kramsztyk: „Wiadomości początkowe z fizyki.“ Książeczka 1-sza. wyd. 3. Nakł. Wendego i Sp.

— H. Kondratowicz: „Górnictwo,“ wyd. Kasy Mianowskiego; skład u Wendego i Sp.

— Dr. E. Toulouse i dr. L. Marchand: „Mózg i jego czynności,“ przeł. z upoważnienia autorów R. Nussbaumowa. Lwów, nakł. Altenberga.

— E. Lebon: „Krótki rys dziejów astronomii,“ dzieło uwieńczone przez Ak. franc., przeł. S. Bouffałł. Nakł. Wendego i Sp.

NA MARGINESIE.

O patryotyzmie i miłości ludzkości dalszy ciąg wywiadów *La Revue* przyniósł wiązkę myśli, wypowiedzianych przez polityków i ludzi czynu różnych narodowości i stanowisk.

Większość znowu, jak i poprzednio, uznaje zupełną możliwość pogodzenia obu uczuć razem, wielu nawet utrzymuje, że miłość ludzkości potęguje siłę patryotyzmu, a ich połączenie dobrze wróży na przyszłość o rozwoju idei sprawiedliwości pośród ludów.

Vandervelde, deputowany i socyalista belgijski, widzi w patryotyzmie objaw przywiązania dla ziemi rodzinnej i społeczeństwa, do którego należy się przez język i obyczaje. Nowikow, socyolog rosyjski, uważa, że narodowości nietylko nie można zniszczyć, lecz że są one żywiołem niezbędnym dla utrzymania ogólnej harmonii wśród rodzaju ludzkiego. „Bądźmy patryotami — mówi Lombroso — lecz nie dajmy temu uczuciu powstrzymać nas od spełnienia czynów donioślejszego znaczenia. Dla Kossutha patryotyzm jest tylko uczuciem rodzinnem, które obejmuje cały naród. „Serce ludzkie — powiada on — jest tak małe, aby mogło ukochać świat cały.“ Haeckel, słynny przedstawiciel darwinizmu w Niemczech, sądzi, że patryotyzm i miłość ludzkości mają to samo znaczenie w życiu narodów, co egoizm i altruizm w życiu jednostek. „Jak drzewa powinniśmy zapuścić korzenie głęboko w ziemię, lecz konarami myśli naszych i pragnień wystrzelać wysoko i rozpościerać się szeroko — ku słońcu, w przestrzeń powietrzną“ — mówi Gubernatis, profesor w uniwersytecie rzymskim. „Nie sądźmy, że miłość ludzkości zabija uczucie patryotyzmu — pisze Ferri, redaktor socyalistycznego dziennika *Avanti* i jeden z kierowniczych duchów tego ruchu we Włoszech — jak fale wodne płyną uczucia nasze, z rodziny rozszerzają się na miejsca rodzinne, na naród, na ludzkość całą. W powściągliwych słowach Mommsena kryje się skłonność do wyłączności narodowej, czego zresztą można się było spodziewać. Zaś Charles Dilke uniknął dowcipnie szczerości w swej odpowiedzi, twierdząc: „że żaden Anglik nie umie rozprawiać o kwestyach oderwanych.“

Wiek z charakteru pisma odgadnąć usiłuje Alfred Binet w *La Revue*, tak jak już poprzednio usiłował zbadać, czy płeć odgadnąć można. Poszukiwania swoje wszczął, aby się przekonać, czy istnieją rzeczywiste podstawy dla zajmowania się grafologią. Tak tu, jak tam, stanowczych danych nie znalazł. Znawcy i specyaliści, którym poddawał próbki pisma dla określenia wieku piszącego, popełniali często pomyłki, wahając się pomiędzy paru a kilkunastu, nawet 20—30 latami. Możnaby stąd wnosić, że wiek fizyologiczny niezawsze zgadza się z metryką urodzenia, że charakter pisma, jak utrzymują niektórzy, zależy od stanu arteryi, kostnego a nawet nerwowego, których młodość i sprawność, przedłuża się lub skraca bez względu na datę urodzenia. Dlatego mamy młodych ludzi piszących jak starcy, i starych, młodzieńczością swego pisma mogących wyprowadzić w pole grafologów.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W pismach codziennych obiega wiadomość, że w niektórych fabrykach warszawskich przy przyjmowaniu sił wyrobniczych postanowiono oddawać pierwszeństwo ludności, zamieszkałej w mieście i okolicach podmiejskich, stale trudniącej się pracą fabryczną. Ludzi świeżo przybywających ze wsi, zarządy fabryczne skłaniają do powrotu na rolę. Podobno tym sposobem zarząd fabryk pragnie zapobiedz tworzeniu się w Warszawie proletaryatu wyrobniczego w przypuszczeniu, iż zniechęceni niepowodzeniami w mieście, wyrobnicy powrócą na wieś, gdzie się daje odczuwać znaczny brak rąk do pracy.

— Grono Żydów w Warszawie stara się o pozwolenie otworzenia kuchni bezpłatnej dla rodzin, których opiekunowie odsiadują więzienie.

— Przy warszawskiej gminie ewangelickiej otworzono „Ognisko domowe“ i „Schronisko tymczasowe.“ Pierwsze przeznaczone jest dla kobiet i dziewcząt od lat 16—35, pozbawionych krewnych lub opieki; drugie — na pobyt krótki w razie utraty miejsca i dla ubogich przyjezdnych, za opłatą 10 kop. dziennie lub 16—26 kop. z całodziennem utrzymaniem.

— Wprowadzenie instytucyj ziemskich do gub. Wołyńskiej odroczone zostało na czas nieograniczony.

— Polecono dzieci nieślubne zapisywać w księgach metrycznych na imię matki, bez użycia wyrazu „nieprawe,“ oraz zaznaczenia, że rodzice są niewiadomi.

— Prasa poznańska domaga się wycofania funduszów, złożonych przez kapitalistów polskich w różnych bankach niemieckich, kasach powiatowych miejskich itp. oraz wypowiedzenia w spółkach zarobkowych kredytu dłużnikom niemieckim. Przeciw temu w liście otwartym zaprotestował patron spółek, ks. Wawrzyniak, który powiada, że „wszelka myśl mściwego odwetu jest pogańska.“ Pisma polskie zarzucają ks. W. „idealizm niewczesny i niewłaściwość stosowania haseł sprawiedliwości.“

— Trzydziestu proboszczów śląskich wystosowało do kard. Koppa odezwę w której żądają potępienia działalności *Górnoślązaka*.

— Towarzystwo młodzieży kupieckiej w Poznaniu utworzyło biuro stręczenia posad dla pomocników i uczniów handlowych.

— Z Poznania wydalono kilka rodzin polskich mieszkających tam od lat 30, a pochodzących z Państwa Rosyjskiego i Austryi. Pisma hakatystyczne nazywają wygnańców „agentami galicyjsko-polskiej propagandy,“ inne tłomaczą ten postępek „aktem nerwowości policyjnej.“

— Studenci uniwersytetu berlińskiego, poddani rosyjscy, ogłosili protest przeciw mowie bar. Richthofena, który utrzymuje, że „wśród znienawidzonych przez berlińczyków słuchaczów znajdują się anarchiści, a studentki są żywiołem zdemoralizowanym.“

— Stosunek narodowościowy w armii austryacko-węgierskiej jest następujący: Włochów 1%, Rumunów 5%, Węgrów 18%, Niemców 29%, Słowian, Chorwatów, Słoweńców, Rusinów, Polaków, Słowaków, Czechów) 47%. W marynarce wojskowej stosunek jest następujący: Węgrów 7%, Niemców tylko 10%, Włochów 27%, Słowian 56%.

— Austryackie ministeryum wojny wydało rozkaz, ażeby we Lwowie, Krakowie, Jarosławiu i Tarnowie zaprowadzono kurs nauki języka polskiego dla oficerów.

— Towarzystwo kolonizacyjne, żydowskie, zwane „Ica“, rozpoczęło rokowania z namiestnictwem galicyjskiem w sprawie następującej: „Ica“ chce dać około 10 mil. koron z warunkiem, że w fabrykach, które założy za te pieniądze, będzie pracowało 33% Żydów sprawę tę rozpatruje już galicyjski wydział krajowy, [illegible] ski występuje przeciw temu, twierdząc, że „nie należy dawać pieniędzy stańczykom, czyli zubożałym panom, którzy żyją na koszt kraju, nie robiąc dlań nic dobrego; przyjdzie czas, a „Ica“ się przekona, iż nietylko wyrzucono pieniądze na rzecz Galicyi, ale że dało się broń w rękę wrogom Żydów.“ (*Gaz. Pols.*).

— Konsulowie angielscy w Rosyi otrzymali zawiadomienie, że skutkiem niepomyślnego stanu pracy zarobkowej w Afryce południowej, rząd przylądkowy prosi o przedsięwzięcie środków, zapobiegających dalszej emigracyi do Afryki południowej osób, niemających dostatecznych funduszów lub zapewnionych posad po przybyciu na miejsce.

— Wyjaśniono, że uchwały gromadzkie o składkach na cerkwie prawosławne nie obowiązują innowierców.

— Według uchwały senatu, w wydanych ochrzczonym Żydom dowodach legitymacyjnych powinno być wymienione poprzednie ich wyznanie.

— Prokurator niemiecki, Wagner, w broszurze p. t. „Die Strafinseln“ radzi więźniów wysyłać do kolonij w Afryce, gdyż „choroba morska, żółta febra i inne dolegliwości podzwrotnikowe byłyby znakomitem dopełnieniem kary, podobnie jak dawniej niektóre owady, gnieżdżące się w więzieniach.“

Szkoły i wychowanie. W d. 1 stycznia 1904 r. politechnika warszawska liczyła 983 studentów (w tej liczbie 36 osób z wyższem wykształceniem), a podług wyznań — 624 ($63\frac{1}{2}$%) katolików, 146 (15%) prawosławnych, 147 (15%) Żydów, 51 (5%) protestantów i 15 ($1\frac{1}{2}$%) innych wyznań.

— Nauczycielkom domowym, które zdały odpowiedni egzamin, pozwolono na wykłady w szkołach początkowych wszystkich przedmiotów objętych programem.

— Komisya do spraw oświaty ludowej, istniejąca przy petersburskiej radzie miejskiej, postanowiła usuwać z posad te nauczycielki, które wyszły za mąż.

— W uniwersytecie kijowskim słucha wykładów 2,693 studentów, w tej liczbie 475 katolików.

— Na pytanie czy osoby z domowem wykształceniem w razie niezdania wymaganego egzaminu z kursu pięciu klas szkół realnych w maju, mogą być dopuszczone do ponownego egzaminu poprawkowego w sierpniu, departament ministeryum oświaty nadesłał wyjaśnienie następujące: Na mocy rozporządzenia ministeryalnego z d. 29 stycznia 1897 r. (nr. 2517), przy egzaminach poprawkowych osób z domowem wykształceniem stosowane być winny przepisy, obowiązujące egzaminy wstępne, czyli, że nie zdawszy egzaminu wstępnego do gimnazyum lub progimnazyum w końcu roku szkolnego, nie mają prawa do egzaminu poprawkowego w sierpniu tegoż roku i w tymże zakładzie naukowym, chociaż w razach wyjątkowych radom pedagogicznym pozostawiona jest możność czynienia ustępstw. Ministeryalny więc przepis ten sto

sowany być winien i do osób [illegible] domowem wykształceniem, przytem zdający egzamin poprawkowy obowiązani są wnosić [illegible] egzaminatorów, oraz zdawać ze wszystkich przedmiotów.

— Na mocy obowiązujących przepisów o egzaminach uczniów w gimnazyach męzkich i progimnazyach oraz szkołach realnych, prośby o dopuszczenie do egzaminów dojrzałości w gimnazyach i ostatecznych w szkołach realnych powinny być wnoszone na 2½ miesiąca przed rozpoczęciem egzaminów, czyli że ostateczny termin upływa z d. 14 kwietnia. Podania zaś o dopuszczenie do egzaminów z zakresu którejkolwiek klasy gimnazyów męzkich i szkół realnych oraz gimnazyów żeńskich wnosić należy najpóźniej do 23 kwietnia.

— *Kur. Warsz.* donosi: W ostatnich czasach senat otrzymał od mieszkańców żydowskich kilku miast skargi na to, że ministeryum oświaty nie chce uwolnić ich synów, kształcących się w szkołach realnych, od pisania i robót ręcznych w sobotę. Senat, rozpoznawszy sprawę, odrzucił te skargi z następnych powodów: 1) dzieci żydowskie, które chcą uczyć się w tych szkołach, powinny stosować się do obowiązującego w nich porządku i rozkładu nauk; mogą się one uwolnić od pisania i robót ręcznych jedynie drogą wyjątkową, jeżeli przełożeni szkół uznają, że to uwolnienie nie będzie przeszkodą w porządku lekcyj i postępach w nauce; 2) jeżeli Żydzi nie chcą się zgodzić na porządek nauk, ustanowionych w tych szkołach, to mogą uczyć swe dzieci w szkołach specyalnie żydowskich, stosujących się do wymagań religii żydowskiej i obrządków tej wiary; 3) odmowa ministeryum na starania proszących nie jest ograniczeniem swobody religijnej izraelitów, jak twierdzą petenci.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło zarząd uniwersytetu warszawskiego, że studenci kończący wydział filologiczny, celem otrzymania posad nauczycielskich w gimnazyach i innych zakładach naukowych średnich, powinni poddać się specyalnemu egzaminowi przy uniwersytecie warszawskim.

Literatura i prasa. Kijowskie Tow. literacko-artystyczne mianowało Maryę Konopnicką swym członkiem honorowym.

Wiadomości naukowe. D. 18 b. m. rozpoczną się w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa popularne odczyty przyrodnicze, pp. Wł. Kocent-Zielińskiego „o maszynach latających,“ Józefa Eismonda „o żywej materyi,“ Jana Lewińskiego „o wodach podziemnych,“ Adama Kudelskiego „o samoobronie zwierząt,“ Józefa Sioma „Okolice i jaskinie Ojcowa,“ Jana Sosnowskiego „o zwierzętach elektrycznych,“ Jan Tura „o najnowszej teoryi powstawania gatunków,“ Al. Janowskiego „Źródła Warty i Odry,“ Kazimierza Kulwiecia „o troskach rodzicielskich zwierząt,“ Wojciecha Szukiewicza „O Zakopanem,“ Bronisława Znatowicza „o pierwiastku chemicznym,“ M. Pożaryskiego „o różnych rodzajach promieni,“ St. Górskiego „o radzie i innych pierwiastkach promieniotwórczych,“ K. Jablczyńskiego „o poglądach na istotę promieniotwór[illegible].“

— D. 5 września r. b. odbędzie się w Lund (Szwecya), międzynarodowy kongres astronomów.

Sprawy ekonomiczne. Właściciele przędzalni łódzkich starają się o pozwolenie na wysłanie do Azyi środkowej wyprawy uczonych specyalistów.

— Zatwierdzono ustawę Tow. wzajemnego kredytu [illegible].

— Zawiązały się nowe spółki włościańskie: „Rolnik“ w Łaziskach, pow. Iłżecki, „włościan nadwiślańskich“ [illegible]ieciechowie, gub. Lubelskiej.

Poczta. Otwarta została nowa linia telegraficzna Moskwa-Władywostok i Moskwa st. Mandżurya. Warszawa i Berlin posiadają bezpośrednie połączenie z Moskwą, wszelkie więc telegramy, wysyłane z Berlina i Warszawy na Daleki Wschód, dochodzić będą z szybkością korespondencyi telegraficznej wewnętrznej.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyi powzięło projekt, ażeby wynagrodzenia za śmierć lub kalectwa były wypłacane tylko w formie pensyi dożywotniej.

Katastrofy. Z Batawii donoszą, że skutkiem wybuchu wulkanu Merapi wiele wsi zasypał popiół i zalała lawa, przyczem zginęło bardzo dużo ludzi.

Zmarli. Dr. Wiktor Grosturn, ordynator szpitala starozakonnych w Warszawie, założyciel *Gazety Lekarskiej*.

— Juliusz Horst, b. minister obrony krajowej w Austryi.

— Leon Lavendon, dziennikarz i publicysta, redaktor paryskiego *Correspondant*.

OGŁOSZENIA.

Pamiętnik NAGIEJ PRAWDY.

Po długim procesie, zakończonym zgodą, tak z sobą rozmawiały dwie mocne dusze.

Hr. Wieloryb. To nie wzór dla nas. P. Ludwik Górski jest to poczciwy krawiec, który ciągle przerabia na rozmaite kubraki stary żupan z przed 40-laty, a ile razy w nim wystąpi i spostrzeże zdziwienie, powtarza: tak by się dziś ubierał p. Andrzej Zamojski.

Rekin. Więc czego hrabia żąda?

Hr. Wieloryb. Wy płyniecie gromadą bezpieczni za wielkimi okrętami i pożeracie wszystko, co z nich do morza wpadnie; my musimy poprzestawać na połykaniu drobnych rybek i ginąć od harpunów, które przemysł w nas wbija. Wiesz pan, na wielu wyspach z żeber wielorybich grodzą płoty. To nasz los w waszych rękach.

Rekin. Jeszcze nie rozumiem.

Hr. Wieloryb. Wytłomaczę jaśniej. Arystokracya, panie kochany, to wielka, skalista góra, przez którą wy przebiliście tunel i przeprowadziliście kolej dla przewożenia swoich towarów. Czy pan sądzisz, że my zadowolimy się przyjemnością skracania drogi waszym pociągom?

Rekin. Panie hrabio, ja wcale nie znam się na przenośniach. Powiedz mi pan wyraźnie: mam do sprzedania wino lub słoninę, a nie zajeżdżaj zdaleka pytaniem, czy kupię to, co Noe chętnie pijał lub to, czego nie jadał.

Hr. Wieloryb. My nie potrzebujemy karmić naszych ambicyj, bo one są syte — tu gdzie najgenialniejszy móżdżek zaofiaruje nam się na potrawkę; ale chcemy karmić nasze interesy, które są głodne — tu gdzie wielu magnatów jada przez tydzień na jednym obrusie. Otóż, mam zaszczyt oświadczyć panu, że wtykanie nam prezesostw obywatelskich, że obszywanie waszych kapot mieszczańskich naszym galonem arystokratycznym wcale nam nie wystarcza. Arystokracya zbiedniała, a ciągle wam się wysługuje, żąda więc miejsca przy waszym stole biesiadnym, albo raczej żąda, ażebyście zaopatrywali jej spi[illegible].

Rekin. Za co właściwie?

Hr. Wieloryb. Za to, że my przeprowadzamy wasze interesy z przedpokojów, na których kończy się droga waszych starań, do gabinetów, do których my mamy tylko wstęp wolny. Bez naszej pomocy wszystkie wasze banki, towarzystwa akcyjne, spółki, instytucye pozostałyby w stanie niezalężonych ja[illegible].

Rekin. Kto panom broni podejmować przedsiebiorstwa na własną korzyść?

Hr. Wieloryb. O nic, zacny panie. Nasi przodkowie nauczyli nas siedzieć w powozach, ale nie nauczyli furmanić. My nie umiemy ani złapać geszeftu, ani go ułożyć, ani zaprządz, ani okiełznać, ani pokierować. To wasza rzecz. Innemi słowy: wy sobie prowadźcie sami fabryki i banki, ale nam dajcie w nich zyskowne miejsca i nie kwitujcie nas honorowemi godnościami.

Rekin. Przecież lombardy panom się powiodły.

Hr. Wieloryb. Naprzód niepodobna, ażeby wszystkie spragnione usta przywarły do wylotu jednej pompy. Powtóre była to mizerna brzytwa, którą mniej nam przynosi wstydu, żeśmy się jej, tonąc, chwycili, niż wam, żeście nam nie podali pasa korkowego. Zapewnijcie nam udziały w waszych spekulacyach, nie będziemy trudnili się lichwą.

Rekin. Gdybyście panowie mogli nas do tej ofiary zmusić, nazwałbym to gwałtem [illegible] zwę to dzi[illegible].

Hr. Wieloryb. Nazwij pan sobie nawet protekcyą Venezuelą, ja tylko ostrzegam przed naszym bojkotem. W dniu, w którym my wam odmówimy naszego poparcia, opuścicie wasze statki i wskakujcie do łodzi ratunkowych [illegible] chociaż posiadacie pletwy i szczęki rekinów.

Rekin. [illegible] może hrabi[illegible] słuszność.

Hr. Wieloryb. Jesteś [illegible] mądry, ażebyś jej w końcu n[illegible] [illegible]dz mi pan, co jest najpiękniejszym twoim snem?

Rekin. Wyższy mur celny o kilka rzędów cegieł.

Hr. Wieloryb. A przecież wy go nie nadsztukujecie.

Rekin. Naturalnie. Co tam! Daj hrabio rękę — pogodzimy się.

(C. d. n.).

G. B. W. P. D.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 30 Января 1904 г.

Warsz[illegible]. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka [illegible]